

## CZEŚĆ PIĄTA

### **Wiekopomny Bój**

Bywa, że i kobyłka lata!

#### **Chłopskie porzekadło**

— Co dla wampira dobre, to dla człowieka śmierć — filozoficznie wygłosił Rolar, patrząc na „konającą” Orsanę.

Dziewczyna z wysiłkiem obróciła się w jego stronę, ale wymyślić i powiedzieć czegoś równie złośliwego nie zdążyła, ponownie z pośpiechem przechylając się przez burzę.

— Może przynieść ci wody? — zlitował się wampir. Wody dziewczynie całkowicie wystarczało za burtą. I napomykać o tym zupełnie nie było po co.

— Wiadro — zachrypiała, gdy tylko ponownie była w stanie podnieść głowę. — Ja cię tam umieszczę i będę tam trzymać, dopóki się nie zamkniesz!

Rolar prychnął z urazą i umilkł. Ale daleko nie odszedł, kątem oka na wszelki wypadek przyglądając się nieszczęsnej męczennicy (nie można powiedzieć, żeby pokornie, ale wytrwale znoszącej trudności drogi). W nocy był lekki sztorm, który ukołysał nie tylko Orsanę, ale i dobrą połowę załogi, tak że statek sprawiał wrażenie wymarłego. Kapitan drzemał w hamaku między dwoma masztami, Len i Wal po cichu rozmawiali, pochyliwszy się nad mapą. Do Lesku pozostały około trzy doby rejsu — jeżeli oczywiście, wiatr się nie zmniejszy albo nie zmieni. Pewne obawy wywoływał tylko unoszący się w powietrzu rumowy oddech, dotkliwie się wzmagający podczas zbliżania się do podejrzenie wesołego szypra, ale „Gołębek”, jak stary wół roboczy, szedł pewnie dobrze znanym kursem, nie dając się z niego zepchnąć natchnionymi szarpnięciami koła sterowego. Rolar miał takie niedobre podejrzenie, że szyper w ogóle nie pracował. Ale podejść i sprawdzić wampir się nie odważył.

Kiedy całe zjedzone przez Orsanę śniadanie demonstracyjnie oddaliło się w szafirową głębię, dziewczynie zrobiło się lepiej. Od burty na wszelki wypadek nie śpieszyła się odchodzić, ale odróżnić niebo i morze była już w stanie. Więcej niczego ciekawego od zawietrznej strony nie było. Ani obłoków, ani ptaków — tylko oślepiające oczy słońce. I tak przez cały dzisiejszy poranek i dużą część wczorajszego dnia.

Od fal mieniło się w oczach. Dziewczyna mrugnęła, ale najbardziej natrętny punkt nie zniknął. Co więcej — zaczął pomału rozrastać się aż urósł do wielkości czarnego trójkątka, a po upływie kwadransa rozdzielił się na kwadraciki żagli i jęczyczek bandery. Wyczerpana dziewczyna niemrawo obserwowała jego zbliżanie się, aż nagle zorientowała się, że nie zaszkodziłoby jakoś zareagować.

— Hej, tam jest jakiś statek! — Orsana, cofnąwszy się do hamaka, z przejściem potrząsnęła kapitana za ramię.

— A? — Ten w połowie uchylił lewe oko, zerknął nim na morze, szeroko ziewnął i obojętnie machnąwszy ręką, odwrócił się na drugi bok. — Wydaje się, że piraci...

Winesjanka ze zdumieniem utkwiała wzrok w huśtającym się hamaku. Potem znowu spojrzała na czarny szkuner, na burcie którego już wyraźnie wylaniał się napis „Łapownik”.

— Ale... oni przecież, wydaje się, zamierzają nas atakować!

— Na to wygląda, — flegmatycznie potwierdził kapitan. Piraci istotnie bardzo się starali, żeby ich zamiary w żadnym wypadku nie zostały wzięte za pokojowe i przyjazne. Oblepiwszy olinowanie od nawietrznej strony (nieszczęsny stateczek mocno przechylił się na prawo, ledwo nie nabierając burtą wody), morscy rozbójnicy potrząsali długimi, krzywymi klingami, wolnymi kończynami wyrażając coś niezbyt zrozumiałego, ale nadzwyczaj obraźliwego, gwizdząc przy tym, hukając i głośno urągając.

Na „Gołąbku” zainteresowali się nimi tylko Orsana i kok<sup>1</sup>, łuskający pestki przy burcie (przy czym odnosiło się wrażenie, że dla rozkoszowania się medytacyjnym procesem obróbki i pochłaniania pestek pasowałby mu każdy inny widok, aby tylko wiatr nie przeszkadzał wypluwać łupin za burte).

Tymczasem statki zeszły się tak blisko, że wytrząśnięte przez koka śmieci z szelestem zrosiły pokład pirackiego statku, a jednocześnie i jego kapitana. Trochę niezadowolony z tej okoliczności, ryknął na całe gardło: „Do abordażu!” — i w burty „Gołąbka” ze szczękiem wpilo się około pół tuzina haków, z długimi ogonami lin. Chwyciwszy za ich końce, stojący w szeregu piraci z

---

<sup>1</sup> **Kok** – kucharz okrętowy

chwalebłą gorliwością zaparli się nogami o pokład, przyciągając statki do siebie nawzajem. Po upływie kilka sekund statki z hukiem uderzyły o siebie burtami i morscy rozbójnicy, w ilości około półtora tuzina, runęli na „Gołąbka”, jakoś znajdując sposób, aby wydawać głośne i przerażające dźwięki nawet przez ściskane w zębach kindżały.

Przemytnicy kontynuowali ich obserwację z nader umiarkowanym zainteresowaniem, nie odrywając się od codziennej krzątaniny w rodzaju łuskania pestek, popołudniowej drzemki czy też gry w kości.

Abordaż, skonsternowany takim obojętnym przyjęciem, zatrzymał się w odległości jednego sążnia od burty. Piraci z zakłopotaniem ustawili się w krzywy rząd, ze zdumieniem szturchając siebie nawzajem łokciami i próbując się porozumieć, mimo zaciśniętych na klingach zębach.

W końcu do przodu wystąpił fircykowato wystrojony człowiek, w nieokreślonym wieku, z jawną domieszką trollej i elfiej krwi, które obdarzyły go wielgachnym, cienkim nosem i skośnymi oczami. Malowniczo wysunąwszy lewą nogę, przybrał dziarską postawę i przez nos oznajmił:

— Poddajcie się panowie i żwawo wykładajcie gotówkę, gdyż my — tak, tak, nie pomyliliście się! — to sławni piraci, postrach i groza tutejszych wód!

Na pokładzie ukazał się ponury junga, z wiadrzem wody przelewającej się przez brzeg. Zastanowiwszy się, chłopak zamaszystym gestem chlusnął ją wprost pod nogi nowo przybyłego, opadł na czworaka i zaczął energicznie szorować deski szeroką szczotką. Piraci do reszty zbici z tropu, posłusznie się cofnęli.

— A my — Len i Rolar równocześnie szeroko rozpostarli skrzydła, promiennie demonstrując charakterystyczny zgryz — wampiry!

— Nie wiem nic na temat tutejszych wód — dodał Rolar, — ale w waszych krainach z jakiegoś powodu opowiadają o nas wszelakie podłości...

Herszt upewnił się, że „klienci” nie żartują i wyraźnie posmutniał. Niektórzy praktycznie bez zbytecznych rozmów poleźli z powrotem na „Łapownika”, pozostali ze zmieszaniem wypluli kindżały, pochowali je za plecami i zaczęli przestępować z nogi na nogę, z niewinnym wyglądem pogwizdując i spoglądając na niebo.

— Bardzo uważnie was słuchamy! — szczerze zapewnił Len, wymachując gwórdem jak laską. Suche trzaski to wyskakujących, to błyskawicznie chowających się w rękojeści ostrzy, zmuszały piratów do nerwowego podrygiwania i rejterowania z powrotem na szkuner w zdwojonym tempie.

— Tak więc... e-e-e... — Hersztowi nerwowo drgnął policzek, ale natychmiast potrafił się znaleźć: — Ot i zapoznaliśmy się!

— Bardzo nam miło! — dodał przypochlebnie ktoś z abordażowej załogi.

Wampiry wymieniły spojrzenia i uśmiechnęły się jeszcze bardziej wieloznacznie. Herszt z trudem przełknął ślinę i odwzajemnił pełen zębów uśmiech.

— Któż mógł przypuszczać, że Państwo zadacie się z tymi szalbierzami? — wyrwało się hersztowi z głębi duszy. — Państwo zwykle tylko na leskich statkach podróżujecie!

— Wybaczcie, że wprowadzono pana w błąd — ironicznie rozłożył ręce Rolar. — Wcale nie chcieliśmy was niepokoić!

— Ależ to żaden problem! — zareagował pirat. — Radzi byliśmy Państwa odwiedzić! Tak więc, chyba popłyniemy dalej?

— Płynicie! — majestatycznie pozwolił Len. — Tylko...

— T-tak?! — z obawą zachrypiał herszt, na daną chwilę zostając na „Gołąbku” jedynym przedstawicielem „sławetnych piratów”. Czarny szkuner już przestawił żagle i pasmo dzielącej okręty wody rosło w oczach.

— Zabierzcie swój inwentarz, proszę... — Wampir wskazał palcem na abordażowe haki, żałośnie chwiejące się na burcie „Gołąbka”.

Herszt, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście, pośpiesznie przebiegł się wzdłuż brzegu pokładu, wyrywając i zgarniając pirackie mienie w brzęczącą wiązkę. Z przypochlebnym uśmiechem przyglądał sterczące z desek drzazgi, podreptał przy burcie, kłaniając się. Minał jungę ze szczotką, jeszcze raz mamrocząc przeprosiny i „jaskółką” skoczył do wody.

W ślad za nim gruchnął dziki śmiech. Len z rozmachem usiadł na pokładzie, zakrywszy twarz dłońmi, Rolar uściskał się z masztem, a Orsanę nawet przestało mdlić.

— A ja sobie głowę łamałem, dlaczego to nasz kapitanik tak łatwo zgodził się nas wieźć! — mruknął Wal. — Może, warto zaciągnąć się u niego na statek jako etatowy wampir? A co, wystarczy raptem — przyczepić kły i przywołać na facjatę wyraz bezczelności!

— Z facjatą u ciebie wszystko w porządku — uspokoił trolla Rolar. — Ale można też nadziać się i na piratów o ustalonej renomie, którzy zaryzykują nawet utratę połowy załogi, żeby wyjaśnić, co też takiego wartościowego jest przewożone pod ochroną wampira!

— I nie tylko piratów — poważniejąc, dodał Len, jak nożem ucinając ogólną wesołość.

\* \* \*

Pod wieczór wiatr znowu się wzmógł. Najpierw po prostu posepnie pogwizdywał po olinowaniu, potem zaczął jakoś podejrzanie łopotać żaglami, zmusiwszy kapitana do wydania rozkazu zwinięcia kilku brytów<sup>2</sup>. W powietrzu wyczuwało się niedobre, wyczekujące napięcie.

Pierwszy zauważył to Len. Ale nic nie powiedział, pozostawiając Orsanie prawo do wydania pełnego zdumienia okrzyku.

Na przemytniczym korycie podniósł się niespotykany dotąd rwetes. Załoga „Gołabka” zaczęła miotać się po pokładzie, jak tuzin zaskoczonych w pustej skrzyni myszy, to łapiąc się za olinowanie, to z pośpiechem oplątując sznurem zwalony przy burtach ładunek; gnom pełniący wachtę, jak pchła podskakiwał w swojej becze na szczycie masztu, to niebezpiecznie przechylał się przez jej brzeg, desperacko gestykulując i strojąc grymasy. Na dole, z niemniejszym entuzjazmem wywijał kapitan, przeplatając rozkazy z barwnym opisem kar za ich niewykonanie, zmuszającym Wala do aprobującego pochrząkiwania.

Morze na horyzoncie pociemniało, powlekając się zmarszczkami, jak gdyby cienkim strumykiem wlewano w nie szybko rozplływającą się w wodzie farbę. Nie minęło i pięć minut, jak statek zatańczył na zbliżających się z lewej strony falach, zalotnie kołysząc się z boku na bok. Orsana przełknęła podchodzącą do gardła grudkę i mocniej objęła maszt. Wampiry nadal niewzruszenie stały przy burcie, bez widocznego wysiłku zachowując równowagę, chociaż obok co i rusz z hukiem toczyły się nieprzymocowane beczki, a za nimi z krzykiem uganiali (a nawet toczyli) się marynarze.

A potem zobaczyli i sam „strumyczek” — wirujący skrętek trąby morskiej<sup>3</sup>, lejem przysysający się do firmamentu. Nieco rozmyty z dołu, tam gdzie powietrzny potok przekształcał się w rozciągający się naprzeciw niego wodny potok, przypominał Orsanie nitkę, zwijaną z kądzieli niskich chmur, z białymi puszystymi wierzchołkami i w szafirowo-czarnym zestawieniu. A za nią zaczynała się taka nieprzenikniona, kłębiąca się mgła, jakby morze urywało się przy brzegu ziemi ogromnym wodospadem — z głuchym, nieprzerwanym jękiem, daremnie próbując ucześcić się powietrza grzebieniami z piany.

— On idzie prosto na statek — samymi wargami wyszeptał Rolar.

---

<sup>2</sup> **Bryty** – pasy materiału (kiedyś płótna), z których po zespoleniu (kiedyś zszyciu) powstają żagle. W żaglach prostokątnych bryty biegną prostopadle i równoległe do lików, w żaglach skośnych najczęściej prostopadle lub równoległe do tylnego liku. Brytom można również nadawać specjalne kształty w celu nadania żaglom pożądanego profilu. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Bryt>

<sup>3</sup> **Trąba wodna (trąba morska)** to zjawisko meteorologiczne polegające na formowaniu się pionowego chmurzastego wiru w kształcie leja, występującego nad powierzchnią wody, połączonego z chmurą kłębiastą. Pod tą postacią jawi się jako nadwodne totnado, które wznosi wodę. Jest znacznie słabsza od swego lądowego odpowiednika. Trąby wodne są w dużym stopniu przezroczyste i w początkowej fazie można je zauważyć tylko dzięki śladowi jaki pozostawiają na powierzchni wody. [http://pl.wikipedia.org/wiki/Tr%C4%85ba\\_wodna](http://pl.wikipedia.org/wiki/Tr%C4%85ba_wodna)

Ślepi ani zapaleni dyskutanci się nie znaleźli.

On nie szedł sobie tak po prostu ale konsekwentnie doganiał stateczek, jak samonaprowadzający się pulsar, już dwa razy zmieniawszy kierunek w ślad za nim.

— Wolha by się tu przydała — mimo woli wyrwało się Orsanie.

— Uczciwie mówiąc, do ostatniej chwili byłem pewny, że ona się do nas przyczepi — przyznał się Rolar, widząc, że Władca nie podtrzymuje, ale i nie przerywa rozmowy na drażliwy temat. — Ale jesteśmy już w drodze więcej niż dobę, a następny statek wyjdzie z portu dopiero za dwa dni — pytałem.

— No tak, w porcie foczka przegapiła swoją ostatnią szansę — przytaknął Wał. — Chociaż miałem ogromną pokusą zejść do ładowni i na wszelki wypadek ostukać beczki z peklowanym mięsem!

— Przestań. Ile tam tego „Gołąbka” — Len by ją migiem wyczuł.

— O nie! — niespodziewanie zajęczał Władca i poręcze zaskrzypiały, przygniecione naciskiem jego palców. — Nie, tylko nie to!!!

\* \* \*

Ocknęłam się dlatego, że moją twarz z zainteresowaniem obwąchiwał siedzący mi na piersi szczur. Gdy fakt ten dotarł do mnie, fala dźwiękowa po prostu zniosła nieszczęśliwe zwierzątko z mojej piersi! Wyrównawszy oddech, z obawą przysłuchiwałam się i usłyszałam tak wiele, że mogłam nie obawiać się o następstwa: jeżeli krzyk i przedostał się na zewnątrz, chyba nikt nie zwrócił na niego uwagi. Tam zajmowano się własnymi problemami. Tu też skrzypiał sufit i grodzie, po podłodze przetaczały się jakieś beczki a w ściany bezustannie uderzało coś ciężkiego, tak że całe pomieszczenie huczało i drżało.

„Jestem na statku — odetchnęłam z ulgą. — Wygląda na to, że w ładowni, a na zewnątrz nieszczęśliwa pogoda”. Ciekawe ile minęło czasu? Dwanaście godzin, nie mniej, mocno zdążyłam odleżeć boki na stercie worków, ściśle napchanych jakby grochem. Cóż, tak nawet lepiej — póki poniewierałam się bez świadomości, Len nie mógł mnie wykryć przy pomocy telepatii, a teraz trzeba jak najszybciej postawić blok i się stąd wydostać. Jeśli i zauważy, dojdzie do wniosku, że mu się przywidziało. A jak nie, przecież nie wyrzucą mnie za burtę!

Uczepiwszy się jakiejś deski, spróbowałam stanąć i wybuchłam jeszcze jednym krzykiem: po teleportacji przekłeta noga wróciła do dawnego, połamanego stanu. Blok także zdmuchnęło jak wiatrem. Zacisnąwszy zęby, po kolei powtórzyłam wszystkie trzy zaklęcia. W skroniach zaszumiało i już w

następnej chwili, po ciele rozlało się dobrze znane uczucie wyobcowania i ocieężałości, ale ciało podporządkowało się bez zarzutu. Jakby było kierowanym zombi. I tym ono, właściwie i było, tylko kierowałam nim sama.

Rozejrzawszy się, zobaczyłam prowadzące w górę schody, a nad nimi — szary kwadrat otwartego włazu, skąd to, raz po raz padały duże krople. Dobrze, jakoś sobie poradzę...

Już złapałam się za ostatnią poprzeczkę, kiedy czyjaś ręka bezceremonialnie złapała mnie za kołnierz i jednym szarpnięciem wyrwała z ładowni.

Spotkanie Najwyższej Wiedźmy i Władcy Dogewy odbyło się na bardziej niż nieoficjalnym poziomie. Dokładnie — to — na wyższym poziomie pokładu, ponieważ Len nie śpieszył się rozluźnić ręki.

— Co tu do ghyra robisz?!

— Rozkoszuję się leczniczym morskim powietrzem! — Spróbowałam go kopnąć zdrową nogą. Spudłowałam, ale wampir nie chcąc kusić losu wypuścił rozjuszoną wiedźmę i się cofnął.

— Cóż — ryknął, kiwając głową na coś za moimi plecami. — Rozkoszuj się!

Obejrzałam się — i zdrętwiałam.

Niewtajemniczonym ono mogło się wydawać „zaledwie” wzburzonym splotem wody i wiatru, ale wiedźmi wzrok w mgnieniu oka wydzielił trzeci składnik, a dokładniej, kształtujący i nakierowujący się rdzeń. Magia powietrza, spleciona w potężne, ale jak zawsze, jednak dość prymitywne zaklęcie. Nawet nie było warto mieć nadziei na jego zakłócenie lub zniweczenie.

Wydstające się spod obręczy włosy trzepotały na wietrze białym płomieniem. Odrzucanie ich z twarzy było bezsensowne, więc Len nawet nie próbował. Szare oczy płonęły gniewem i taką rozpaczą, że poświęciłabym i zrobiłabym wszystko, czego sobie życzy, żeby tylko nie widzieć go w takim stanie. Oprócz idiotycznego rozkazu, żeby nic nie robić, po prostu zostać i wylegiwać się w łóżku.

— Odejdź.

Prawdopodobnie, nie wyglądałam najlepiej, ponieważ Len zacisnął zęby i się podporządkował.

Głęboko westchnęłam i spłótłam palce. Podniosłam je do warg i zaczęłam cicho szeptać posłusznie napływające z pamięci słowa. Wkute na pamięć do takiej automatyczności, że nie warto było wnikać w ich sens, gdyż inaczej — natychmiast się myliło.

Trąba morska zaczęła poruszać się szybciej. Jak pies, biegnący po śladzie i

wreszcie widzący zwierzynę. Z ogromnym trudem powstrzymałam się od pokusy przyspieszenia melodyjnego recitativo. W zasadzie określona szybkość czytania magicznych formuł nie istnieje, ale wybrany na początku rytm powinien pozostać niezmiennym, a wyplątane zaklęcie koniecznie trzeba wypowiedzieć od początku i do końca. Tu nie popapłasz. Zwłaszcza — w tym wypadku.

... — Nie podoba mi się to uderzenie — burknęłam, niechętnie wychodząc na środek placu treningowego. Przyszli koledzy złośliwie chichotali za plecami. Sądząc po, dopiero co pokazanym ćwiczeniu, wykładowczyni szermierki wymyśliła szczególnie wyrafinowany sposób odsiewu adeptów i nie mogła się doczekać, aby wypróbować go w praktyce.

— Nie podoba się — nie odbijaj! — spokojnie zauważyła Mistrzynie, podrywając treningowy, ale z tego powodu nie mniej groźny dwuręczny miecz, do ciosu, którego odbić nie udało się i dorosłemu mężczyźnie.

Ale uchylić się od niego, opuściwszy nieprzyjacielski miecz po ostrzu swojej klingi, zdoła nawet adeptka piątego roku...

Uparcie pochyliłam głowę i gwałtownie wyrzuciłam do przodu rękę, nie rozluźniając palców. Po falach rozchodzących się klinem przeszła zmarszczka, jak gdyby naprzeciw trąbie morskiej rzucił się lekki wietrzyk. Z elegancją przemknął z lewej strony pod ostrym kątem... i jakby przypadkiem zaczął „bokiem” na ukos.

Krótką, drewnianą klingą skrzyżowała się z dwuarszynową, stalową.

...Nie złamać się, wytrzymać pierwszą chwilę, póki miecz, który zderzył się z przeszkodą zastanawia się — czy prześliznąć się mu wzdłuż niej czy też przeciąć na pół. Kiedy lekkie drewnienko wypełnia się jakby ołowiem, wykręcając się z rąk, nie można go wypuścić ani ustąpić — w przeciwnym razie, stal bezlitośnie dokończy zamach...

„Trzymaj, wiedźmo!”

Czarny lej wygiął się w moją stronę. Potoki zmagających się mocy smagneły się i poprzeplatały, jak rozwścieczone smoki, wbiwszy w siebie nawzajem jadowite kły.

„Trzymaj-y-y.”

Wydało mi się, że słyszę zgrzyt ścinanej strużyny<sup>4</sup>, ból w nadgarstkach stał się nieznośny... a potem od razu ustąpił.

Trąba przeszła brzegiem zmarszczek i znalazłszy się daleko za statkiem, niespodziewanie rozerwała się pośrodku. Złapana przez wichur woda z szumem

---

<sup>4</sup> **strużyna** – wióry powstałe przy obróbce drewna i metalu [http://pl.wikipedia.org/wiki/Wi%C3%B3r\\_%28technika%29](http://pl.wikipedia.org/wiki/Wi%C3%B3r_%28technika%29)



opadła do morza, górna część skrętka zassała się z powrotem w obłok, który zaczął szybko się rozjaśniać i wprost w oczach rozpadać się na niknące strzępy. Fale, jak szczury przyłapane przy przegryzaniu worka, ze zmieszaniem rozbiegły w różne strony, a na miejscu trąby została tylko rozlewająca się plama zielonkawej piany.

Tak!!!

Opuściłam ręce, wydawało się, że drżące każdym mięśniem oddzielnie. Triumfalnie obróciłam się w stronę przyjaciół, szykując się na przyjęcie zasłużonych gratulacji i podziękowań... i poczułam się jak dobrze odkarmiona mysz, pod spojrzzeniami czterech głodnych żmij. Nie było po nich widać źle ukrywanej radości ze spotkania... ale raczej jakoś bardzo niedobrą, powiedziałabym nawet, że złowieszczą!

— A więc jednak — ze znużeniem powiedział Len, wyciągając miecz z pochwy. — Teraz ja sam ją zabiję. Przynajmniej, będzie chociaż jakaś gwarancja, że ona spokojnie leży na miejscu!

Cofnęłam się, oglądając się w poszukiwaniu wsparcia, ale na próżno. Przyjaciele z aprobującym zainteresowaniem obserwowali scenę wiedzmobójstwa. Wal nawet postawił na pokładzie swój dwuręczny miecz i oparł się łokciami o krzyżak, mając przedsmak długiego i barwnego widowiska.

„Gołąbkim” zakołysało. Len zręcznie zabalansował, ale moja świeżo złamana noga okazała się niezdolna do takiego wyczynu i boleśnie plasnęłam na dupę. Obserwowanie rozgniewanego wampira od dołu do góry, okazało się dla moich nerwów jeszcze cięższą próbą.

— Oj, jak mnie boli noga! — uciekłam się do ostatecznego środka, zamykając oczy.

— Kłamiesz — bezlitośnie odciął się Len, ale miecz opuścił. Schylił się, złapał mnie pod pachy i postawił na nogach. Odsunawszy się na krok, krytycznie obejrzał chwiejący się rezultat, bezceremonialnie wziął na ręce i gdzieś poniósł. Jakby nie do burty, tak że awanturowałam się i broniłam więcej dla przyzwoitości niż potrzeby.

Wampir dał nurka pod dolny brzeg żagla, kopnięciem otworzył szeroko niskie drzwi, pochylił się i nie wypuszczając mnie z rąk, bokiem precyzyjnie się do malutkiej kajuty. Jak najbardziej ostrożnie i obojętnie wyładował brzemię na łóżko, wszystko to robiąc w milczeniu, zawrócił i wyszedł, po drodze złapawszy tkwiącą przy progu torbę. Zrozumiałam, że to była jego kajuta. I gdzież on teraz się podzieje? Będzie spać wprost na pokładzie?

Usiadłam i posepnie podciągnęłam zdrowe kolano pod brodę, objąwszy zgietą nogę rękami. I oni zwa się przyjaciółmi — przynajmniej dziękuję by

powiedzieli! I nawet nie wstawili się, gdy ten nikczemny wampir wywlekł mnie z pokładu! Może chciałam jeszcze pospacerować, rozejrzeć się, świeżym powietrzem pooddychać!

Ale prawdę mówiąc, w tej chwili morskie widoki interesowały mnie najmniej. Zaszyć by się w jakiś zaciszny zakątek, wyleżeć się w ciepłe i ciszy, z głową otuloną kołdrą... I co najobrazliwsze — Len to doskonale rozumiał. Tak, że nawet pomstować na niego nie ma za co, a tak by się chciało!

Zresztą, uniesienie walką i podniecenie awanturą szybko minęły. Po ciele znowu zaczęła rozlewać się zdradziecka słabość. Uciekania się do magicznych stymulatorów nie zaryzykowałam — one wszystkie działały na mnie słabiej i wołałam zapłacić za ich stosowanie teraz, póki dług nie stał się całkiem nie do udźwignięcia. Ale wylegiwać się w łóżku bez przytomności i opływać potem z gorączki — to wszystko jedno żadna przyjemność...

\* \* \*

Następne dwa albo trzy dni przeleżałam w łóżku, w stanie mało przydatnym i do magicznych starć i dla innych radości życia. Wydaję się, że nawet bredziłam, od kogoś się odrywałam, kogoś rozpaczliwie się chwytałam, wołałam...

Ale kiedy w końcu oprzytomniałam, nikogo obok nie było, chociaż wilgotna szmatka na czole jeszcze nie zdążyła się ogrzać, a resztki ziołowego wywaru w kubku — ostygnąć. Pokornie leżeć i czekać, aż ktoś raczy się mną zainteresować, rozumie się, że nie zamierzałam. I odświeżywszy zakłęcia (oprócz stymulatora — on jeszcze ujdzie, jakoś i sama sobie poradzę!), wygramoliłam się z łóżka, a dalej i z kajuty.

Jak mi w ogóle udało się wyczarować coś do rzeczy podczas sztormu — w głowę zachodzę. Teraz, nawet przy stosunkowo spokojnym morzu, musiałam kurczowo złapać się za pierwszą napotkaną linę i posuwać się wzdłuż niej. Oczywiście, przyjaciele natychmiast mnie zauważyli, ale demonstracyjnie zignorowali, nie podchodząc i milknąc, gdy się zbliżałam. Niestety, jeśli takim sposobem spodziewali się wyrazić wobec mnie zbiorową naganę, to towarzystwo bardzo się przeliczyło. Ponieważ wystarczyło abym się zachwiała, albo wydała męczeński jęk, jak potępiający mnie towarzysze migiem porzuciliby swoje konspiracyjne zgromadzenie i rzucali mi się na pomoc, dla pozoru niezmiennie odtrącaną „wam-przecież-wszystko-jedno-czy-jestem-

żywa-czy-zluzuję-rzutki<sup>5</sup>-w-strasznych-mękach”. Parę razy, kiedy nie symulowałam, kupił to nawet Len. Tak, że jeszcze nie wiadomo, kto kogo bojkotował!

Jak się okazało, ocknęłam się w samą porę. Po upływie pół godziny załoga rzeczowo zaczęła się uwijać koło olinowania, raz po raz spoglądając na niegodny uwagi obłoczek przy samym horyzoncie. Obłoczek nie ruszał się z miejsca, ale pomału rósł i jakby zaczął się zielenić, a woda pod nim zabarwiać się na intensywny granatowy kolor.

„Lesk” — w końcu to zrozumiałam. Z lewej strony wyłoniła się jeszcze jedna wyspa. Pomimo takiej samej odległości — z pięknie rozróżnialną plażą, drzewami i domkami. Widocznie, w Lesku, jak i w Dogewie, działał zniekształcający „efekt brudnopisu”.

Z takiej okazji osądzający i osądzana zgodzili się troszkę ze sobą razem wytrzymać i stłoczyli się na dziobie „Gołąbka”, z zainteresowaniem i obawą oglądając upragnioną ziemię.

Ze zdziwieniem zauważyłam, że marynarze nie śpieszą się by jak najszybciej przybić, a wręcz przeciwnie, zwijają żagle. Statek stopniowo zwolnił i zatrzymał się.

— Kontrola graniczna — cicho wyjaśnił Rolar, uprzedzając tym samym pytanie Orsany.

Z zasnuwającej wyspę mgły wynurzyły się trzy mewy, po spirali nabrały wysokość i jak gdyby ześliznąwszy się z lodowej górką, po zstępującej linii pomknęły na statek.

— To nie mewy — nienaturalnie spokojnym głosem zaproponował Władca Dogewy, rozpinając pas z pochwą i razem ze swoim gwórdem rzucając go Walowi.

— A co?

Nad morzem rozległ się przenikliwy krzyk, przypominający jastrzębi. Orsana zadrżała i sięgnęła do wiszącego na ramieniu łuku, ale Rolar przechwycił jej nadgarstek:

— Tha’arshie. Wyspiarskie k’iardy.

Jasne płamki szybko się zbliżały, przekształcając się najpierw w ptaki, a potem — w długoskrzydłe konie, z lwimi ogonami i przylizanymi wiatrem grzywami.

---

<sup>5</sup> **rzutka** - stosunkowo cienka lina, (8-12 mm średnicy), z włókien naturalnych lub syntetycznych, z obciążeniem na końcu, (tradycyjnie używano gałki bosmańskiej, woreczek z piaskiem, obecnie specjalne obciążniki z gumy. W rozwiązaniach prowizorycznych lub w miejscach o niskim standardzie można spotkać kawałek metalu) używana głównie przy manewrach cumowania statku. Ponieważ cumy są zbyt ciężkie, aby przekazać je na odległość większą niż kilka metrów, w momencie, gdy statek znajduje się kilkanaście metrów od nabrzeża, ze statku rzuca się rzutkę (ręcznie lub, rzadziej, za pomocą specjalnej wyrzutni). Po przywiązaniu rzutki do końca cumy można cumę przeciągnąć na nabrzeże i tam zamocować. <http://mec.fundacjamorska.org/index.php/Rzutka>

— Z przodu biały — szepnął Rolar.

— Widzę. — Len ze ściągniętą, nieprzeniknioną twarzą obserwował ich zniżenie się.

Obie z Orsaną zamilkłyśmy, wyczuwszy coś niedobrego. Kapitan nerwowo wytarł o spodnie spocone dłonie, załoga próbowała udawać elementy takielunku.

Śnieżnobiały koń dźwięcznie stuknął kopytami o pokład, pomachał skrzydłami i starannie złożył je po bokach, uniósłszy płynnie zaokrąglone zgięcia. Siodła na nim nie było, a tylko cienka uzda ze splecionych w warkoczyk rzemyków. Jeździec miękko, bezszelestnie zeskokczył na pokład. Potrząsnął głową, odrzucając na ramiona mleczno-białe włosy, na czole przyciśnięte przez złotą obręcz, z trójkątnym rubinem w środku.

Nieopodal, zręcznie lawirując między olinowaniem, opuścili się rudoskrzydłaci i rudogrzywi. „Straż” — zrozumiałam, patrząc na nieprzeniknione twarze jeźdźców. Nie zaczęli zsiadać — osadzili rwące się do przodu konie, a te zastygły jak posągi.

A białowłosa już szedł ku nam — drapieżnym, sprężystym krokiem rysia, biegnącego truchtem do znajdującego się we wnyku zajęcia. Otwarcie i bez pośpiechu, wiedząc, że zdobycz już nigdzie nie ucieknie. I oczy miał odpowiednie — nieczułe, przejrzyste zielone, jak morska woda. Lekka bryza targała luźną białą koszulę, z rozwiązanym kołnierzem i podwiniętymi rękawami.

Zatrzymał się w odległości dwóch kroków od Lena, jak gdyby nie zauważając wszystkich pozostałych. Władca Dogewy i Władca Lesku skrzyżowali się spojrzeniami jak klingami.

— Arr'akktur tor Ordwist Szeonell, — szyderczo rozciągając słowa, powiedział białowłosa. Z wyglądu wydawał się starszy od Lena, bardziej żyłasty, z ostrymi liniami twarzy. — Reassten k'atar? Di kann't shere lerd?

— Sia-werden tor Ordlpael Virr'ta? — ledwie dostrzegalnie skłonił się Len, nie odrywając wzroku od twarzy kolegi. — Tesh derena, all'ka nerrs lekk.

— Lekk? — ironicznie uściślił białowłosa i w tej samej sekundzie przed nosem Lena wystrzeliło i otworzyło się trzypłatkowe ostrze. Obie z Orsaną tylko jęknęłyśmy, nie zdążywszy zauważyć, jak wiszący za plecami u obcego gword prześliznął się do niego w ręce. — Ujepp pa ga, Lesk, jaKkaga kazzCza!

— Sheitt. — Len ani mrugnął.

— Olle tta'ka?

— Sheitt — Władca Dogewy nieugięcie skrzyżował ręce na piersi.

— Darre-ta kor?

Len tylko wzruszył ramionami. Gdyby wampiry były magami, iskrzyłoby się między nimi.

Władca Lesku gwałtownie cofnął gword, jednocześnie zamykając ostrza. Przerzucił za plecy nieszkodliwą z pozoru łaskę. I już wskakując na konia, pogardliwie rzucił przez ramię, jakby splunął:

— V'ka ferr shain. Takk renny, Arr'akktur!

Śnieżnobiały i rudoskrzydłaci równocześnie wzbili się w powietrze, zakreślili krąg nad masztami i złapawszy wiatr, pomknęli do brzegu.

— Spójrz, nawet wjazdowego cła nie zażądali... — rozdziawił usta kapitan. — Ogrień, Ryży, żwawo do żagli! Zawijamy do portu, dopóki Straż się nie opamiętała! Szybciej dokonamy rozładunku — i na składy, potem ghyr kto czego dowiedzie!

Na pokładzie podniosła się krzątanka, zaczęto biegać. „Gołabek”, znowu postawiwszy żagle, ruszył z miejsca, szybko nabierając prędkości. Len w milczeniu zabrał od Rolara swoją broń i ukrył się w jednej z kajut. Ukradkiem wytarłam pot z czoła, bardziej bezpośrednio ode mnie najemniczka wydała z uczuciem ulgi „ufff...” i oparła się plecami o maszt.

Rolar spojrział na nas ze szczerym zdumieniem:

— Co z wami, dziewczyny? Żadnego niebezpieczeństwami nie było... przynajmniej w danej chwili. Otwarty gword oznacza: „Ty mój wróg, ale teraz nie czas i nie miejsce”. I on nie zacząłby atakować nieuzbrojonego, to poniżej jego godności.

— Wcześniej nie mogłeś powiedzieć? — oburzyłam się. — Dusza mi w pięty uciekła i ledwo się do ładowni nie zwała!

— Wprost przez nosem Werdę? — chrząknął Rolar. — Niby, że nie zwracaj uwagi na tego typa, teraz on poskacze naokoło nas, pomacha gwordem i zabierze się na własne śmieci?

— Tak. Teraz to Werd, — westchnęłam z uczuciem beznadziejności. — Tylko nie mów, że to jeszcze jeden z powodzeniem porwany narzeczony twojej siostrzyczki!

Wampir trochę się zmieszał:

— Jestem przecież Doradcą, od czasu do czasu wypada mi utrzymywać stosunki ze wszystkimi Władcami. Arliss i Lesk są w dobrych stosunkach, eksportują owoce morza — jakoby gnomiej produkcji, rozumie się, a my...

—... elfie sery — dokończyłam. — Pamiętam. O czym oni rozmawiali?

— Tak więc, Werd zainteresował się... po co przyjechaliśmy — zająknął się Rolar i domyśliłam się, że Władca Lesku użył innego wyrażenia. — Len odpowiedział — że bardzo przeprasza, ale zmuszony jest do naruszenia granicy

Lesku, nie ma wyboru i jest tu w bardzo ważnej sprawie. Następnie nastąpiła zwykła wymiana grzeczności...

— Niczego sobie grzeczności! — sarkastycznie prychnęła Orsana. — Ledwie nosa Lenowi nie odciachał!

— Według mnie, nie ucieszył się na nasz widok — poparłam przyjaciółkę.

— Naturalnie — niewzruszenie, potwierdził wampir. — Między rodami Szeonell i Virr'ta istnieje śmiertelna wrogość i jeżeli ktoś z nich wkracza na cudze terytorium, automatycznie ogłasza, że jest poza prawem. „Takk renny, — powiedział Werd. — Strzeż pleców”.

— Co?! — Moja dusza znowu spróbowała zdezerterować do ładowni. — I co teraz będzie?

Rolar wzruszył ramionami:

— Wojna wiele zmieniła. Po niej w Lesku zostało zaledwie trzech jasnowłosych... a od jakiegoś czasu w ogóle jeden, Werd. Według mnie, krwi i tak przelało się więcej niż dość, chyba nie...

— Chyba nie?! — przerwałam. — Akurat on tylko i czeka, kiedy się odwrócimy, powiedział to otwartym tekstem!

— Wolha, nie pleć bzdur. Zza winkła nikt nam w plecy nie będzie strzelać. W najgorszym przypadku Werd wyzwie Lena na pojedynek i jeżeli mu się poszczęści, rozplynie się przed nami w przeprosinach. Nawet pomnik na swoje konto postawi i każdego roku wieńce będzie przysyłać. To przecież nie byle jaki wróg, a krewniak, przy czym ostatni z rodu!

— I ty o tym mówisz tak spokojne?! — oburzyłam się. — A myślałam, — że Len to twój przyjaciel!

Wampir uśmiechnął się:

— Oni obaj są moimi przyjaciółmi. Dlatego i nie martwię się. Wolha, doskonale znam ich obu. Len nie zawadiaka, a Werd nie dureń. On doskonale rozumie, że przeproszać nieutulonych w bólu krewnych może i przyjść się Lenowi, nie zacznie więc ryzykować pomyślnością swojej doliny. To rytualny zwrot, oznacza zaledwie, że nie znajdziemy w Lesku wsparcia. Ale dał nam trzy dni, żebyśmy mogli załatwić swoje sprawy i wynieść się stąd, inaczej wyrzucą nas z o wiele bardziej mniejszymi honorami... — Rolar w zamyśleniu podrapał się za uchem. — A uwzględniając, że oni początkowo byli nie tak znów...

Z niepokojem spojrzeliśmy na siebie i zrozumieliśmy, że jakoś niepostrzeżenie się pogodziliśmy.

— Nieszczęście ty nasze! — tylko powiedziała Orsana. — I szo my teraz z tobą poczniemy?

Uśmiechnęłam się niezbyt pokornie:

— Sama z sobą wyśmienicie sobie poradzę. Lepiej opowiedzcie, co mnie ominęło?

— Wydaje mi się — nie bez aprobaty chrząknął Wal, — że ominęło nas nie mniej. Wyłuszczej, foczka! A potem zdecydujemy, ot tak cię za burtę wyrzucać, czy też z rozhuśtaniem.

\* \* \*

Szyper pewnie nakierował statek prosto w przybrzeżną mgłę, ale gdy „Gołabek” praktycznie dotknął jej dziobem, mgielkę jakby krowa językiem zlizwała. Przed nami odsłonił się widok na cichy port, po brzegach zarośnięty jaskrawo-pąsowymi morskimi lotosami, a w jego głębi — nieduże cumowisko, obliczone najwyżej na pół tuzina statków. Obok niego znajdowały się w sumie dwa żaglowce i z dziesięć łodzi. „Czarnego Lisa” wśród nich nie było.

— Może został rozładowany i stoi na redzie gdzieś za wyspą? — przypuścił Wal.

— Wypytam znajomych Strażników jak tylko przybijemy — obiecał Rolar. I natychmiast poprawił się sceptycznie: — Jeśli przybijemy.

Rezultat harmonijnych wysiłków szypra, kapitana i załogi najbardziej przypominał cumowanie ze słuchu. W końcu ze wstydem, statek wpasował się do połowy w przydzielone mu gniazdo i rozległo się długo oczekiwane „rzucić kotwicę!”. Między burtą a cumowiskiem położono szeroką deskę (wyglądającą na wskroś przegniłą, ale żeby nie zapeszyć, wypowiedzieć tego przypuszczenia na głos nikt się nie ośmielił). Pierwszy, chwając się, zbiegł po niej, jedyny zapamiętany przeze mnie z ładowni szczur (chyba szczerze żałując, że nie zszedł na brzeg jeszcze w belorskim porcie). Rolar, nie ryzykując, z rozpędu od razu przeskoczył na cumowisko i po kolei podał nam obu (mnie i Orsanie) rękę. Wal na wszelki wypadek najpierw przerzucił miecz, a potem już przeszedł sam.

Len zatrzymał się, aby rozliczyć się z kapitanem, a my kontynuowaliśmy rozmowę już na przystani.

— A nuż się pomyliliście i „Czarny Lis” wcale nie płynął do Lesku? W tej części morza jest pełno wysp — i ludzkich i elfich i w ogóle niezamieszkałych. Co jemu zależało zmienić kurs?

— Możliwe. Wątpię jednak, żeby Władca osobiście wylatywał do każdego handlowego stateczku. — Jedna z rej z przeraźliwym skrzypieniem przekrzywiła się i runęła na pokład, okrywszy żaglowym płótnem dwóch marynarzy, którzy nie zdążyli się rozbiec. Rolar filozoficznie odprowadził ją wzrokiem i dodał: — Tym bardziej do koryta ze szwabrami. I ani on, ani Straż nie mogli wyczuć innego Władcy i jeszcze z takiej odległości. Znaczy, ktoś

powiadomił jego o naszym przyjeździe.

— Wygląda na to, że masz rację. Ale Werd chyba nie okaże nam podobnej grzeczności i nie zdradzi swojego informatora — westchnęłam. — A Lesk to duża dolina?

— Trochę mniejsza od Dogewy. Ustronnych miasteczek jest tam wystarczająco, jeżeli o tym mówisz. Nawet dla człowieka, tym bardziej — maga.

— Za to z wyspy on nie ma gdzie uciec — zauważyła Orsana.

— Najpierw trzeba upewnić się, że ten medrkź<sup>6</sup> w ogóle tutaj wysiadł — sceptycznie burknął troll, podciągając i umieszczając za plecami miecz. — List dla głównego wampira mógł i przez pomocnika przekazać, a to i całkiem jak z myszą...

— Wy — zrozumiałam i dokończyłam. — Ależ oczywiście! A to jeszcze snułam domysły, jakim cudem udało wam się tak szybko zebrać razem w Opadyszczach...

Głośny, złowróżbny trzask zmienił się w taki sam plusk — na szczęście, już za Lenem. Wampir obejrzał się na pływające w wodzie odłamki i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Idziemy — rzucił zdawkowo, przechodząc obok. Wyraz jego twarzy nie spodobał mi się nie tylko dlatego, że rozmowa natychmiast się urwała, ale ponieważ potulnie pomaszzerowaliśmy za nim — po szerokiej, prowadzącej w górę, brukowanej drodze. Tuż za portem zaczynało się miasto — a raczej typowe dla wampirzych dolin wysypisko domków, tonących w zieleni drzew. Jesień jeszcze nie zdążyła dotknąć tutejszej trawy i liści, chociaż na jabłoniach nie został już ani jeden owoc, a jarzębiny pyszniły się jasnoczerwonymi gronami. Wypielegnowane podwóreczka przyciągały spojrzenie jaskrawymi, przeplatającymi się kwiatami wszystkich odcieni czerwonego — od niemal czarnego do jasnoróżowego, płożącymi się po klombach albo zwisającymi ze stojących na parapetach doniczek. Ruda dachówka i pobielone ściany upodobały domki do zabawkowych.

Brakowało tylko nastroju, żeby się nimi całkowicie zachwycić.

— O-o... — z uczuciem przygnębienia wypuścił powietrze Rolar.

O natychmiastowym wypytywaniu Strażników nie mogło być mowy, gdyż ci pozostawali „w trakcie pełnienia służbowych obowiązków” i z takim samym powodzeniem mogliśmy prowadzić przyjacielską rozmowę z wyszczerzonymi kamiennymi gargulcami<sup>7</sup>, stojącymi przy wejściu do muzeum nauk

---

<sup>6</sup> medrkź – z języka trolli

<sup>7</sup> Gargulec - (rzygacz, garłacz, pluwacz, plwacz) – w architekturze, dekoracyjne, ozdobne, wystające poza lico muru, zakończenie rynny dachowej, z którego woda deszczowa ma swobodny odpływ. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Rzygacz>



nadprzyrodzonych. Nie, w oficjalny rządęk wzdłuż drogi się nie ustawiali, ale jednocześnie byli wszędzie — w zaułku, w padającym od domu cieniu, wśród tłumu... zastygłszy w napięciu, z drapieżnie rozwiniętymi skrzydłami i ze złożonymi do ciosu gwordami, nie spuszczać z nas oka.

Czy to honorowa warta, czy też... eskorta w drodze na szafot.

W Dogewie na Lena patrzono jeśli nie jak na samego boga, to co najmniej jak na jednego z jego szczególnie zaufanych świętych — z pełnym czci drzeniem, w wykonaniu nazbyt wrażliwych panien przechodzącym w szczenięcy zachwyty z rozmarzonymi przydechami.

W Lesku — jak na trędownego. Nawet mnie, wiedźmę, nigdy w życiu nie obrzucano podobną nienawiścią i pogardą, zmieszaną z przerażeniem. Nawet Wał, zderzywszy się z jednym takim spojrzeniem, potknął się i od tego momentu wołał patrzeć sobie pod nogi.

A Len szedł. Wysoko podniósłszy głowę, z zupełnie nieobecny spojrzeniem, tak jak gdyby nie zwracając uwagi na rozstępujące się przed nim wampiry. My, nie umawiając się, zbiliśmy się wokół niego, żeby bronić go przed gotowymi lada chwila posypać się ze wszystkich stron kamieniami i plunięciami. Ale przed tą grobową ciszą obronić go nie mogliśmy. Ponieważ, dla niego żadnej ciszy nie było.

Delikatnie dotknęłam jego ręki, ale on, sądząc po wszystkim, nawet tego nie poczuł.

Wydawało się, że ta ulica nigdy się nie skończy i kiedy Len niespodziewanie skręcił do jednej z furtek, o mało co, a byłabym przemknęła obok. Wampir pewnie przeciął podwórko i zatrzymał się przed niemłodą wampirzycą, jakoś nieuchwytnie przypominającą Krynę — jeżeli oczywiście tej przyszłoby do głowy stanąć na progu własnego domu, z dumnie wyprostowanymi plecami i skrzyżowanymi na piersi rękami, gotowej raczej zginać, niż wpuścić do środka najeźdźców, beczelnie spacerujących po bliskiej jej sercu dolinie.

Ale Len nie zaczął przepychać się na siłę. Odczekawszy chwilę, nie za głośno, ale zdecydowanie powiedział:

— Tylko jeśli nie będę miał wyboru.

Kilka sekund wampirzyca beznamietnie, badawczo patrzyła mu prosto w oczy, potem uprzejmie skłoniła głowę i usunęła się na bok:

— Gościć Was w moim domu — to dla mnie duży zaszczyt, Władco.

Len na chwilę przymknął oczy, na jeden oddech i znowu wzięwszy się w garść, przestąpił próg:

— Dziękuję pani, Taiell'in.

O ile sobie przypominam, tak ogromnie chciałam zatrzasnąć za sobą drzwi tylko podczas zajęć praktycznych z nekromancji (drzwi były okute srebrem i prowadziły do poświęconego, rodzinnego grobowca, ćwiczenia odbywały się na modelowo charakterystycznym, niespokojnym cmentarzu i tamtejsze stwory chętnie demonstrowały adeptom swoją różnorodność i możliwości; takiej obfitości nie spodziewał się i sam wykładowca, jako pierwszy dobiegając do grobowca...).

W środku domek okazał się wystarczająco przestronny i przytulny. Znalazło się po jednym pokoju dla Lena, dla mnie z Orsaną i dla Wala z Rolarem, a także jadalnia, gdzie i się zebraliśmy, urządziwszy się na nowym miejscu. Oprócz Lena. Rolar wsunął się do jego pokoju, aby go ponaglić, ale natychmiast z zażenowaniem, starając się nie hałasować, zamknął drzwi:

— Zgoda, niech odpocznie, w ciągu ostatnich trzech dni oka nie zmrużył.

— Dlaczego? — zająknęłam się i natychmiast zacięłam ze zmieszania. No nie, czy ja go niby o coś prosiłam! Pędź tu na złamanie karku (i nogi!) na pomoc, walcz ostatkiem sił z trąbą morską, to i jeszcze zrobisz ciębie winną!

Zjedliśmy obiad we czwórkę. Gospodyni nie dotrzymała nam towarzystwa — nakryła stół, uczciwie powiedziała smacznego i poszła sobie. Po pitraszeniu okrętowego koka nawet gotowane ziemniaki wydawały się najbardziej wyszukany jedzeniem, a Orsana na widok wędzonej słoniny ledwo się nie popłakała. Żeby urwać sobie kawałek tego smakowitego produktu, trzeba było skorzystać z telekinezy, gdyż przyjaciółka bezwstydnie zaciągnęła na swój brzeg stołu cały półmisek.

— Tak więc wyjaśnijcie mi, jak zamierzaliście walczyć z magiem, którego możliwości bynajmniej nie ograniczają się do kradzieży tłuszczu? — zapytałam, pośpiesznie wpychając w usta swoją zdobycz, pod oburzonym spojrzeniem winesjanki.

— My nie — niechętnie przyznał się Rolar po przeciągającej się pauzie. — Len. Większa część zaklęć na niego nie działa, najważniejsze to — podejść na długość klingi.

— W tym właśnie sęk, że istnieje i ta mniejsza część — jak chociażby w rodzaju tej trąby morskiej! No dobrze, przypuśćmy, że mu się powiedzie, ale dlaczego zabrał was ze sobą?!

— Uczciwie mówiąc — Rolar z Orsaną ze zmieszaniem wymienili między sobą spojrzenia, a Wal odchylił się na oparciu krzesła i z zadowoleniem wyszczerzył zęby w uśmiechu na całą gębę — nas nikt nie zabierał. Nawet wręcz odwrotnie. W przypadku powodzenia obiecano nam takie radości życia, że lepiej samemu pójść i się powiesić!

— Tak więc dlaczego wy...

— A ty? — nie mrugnawszy okiem przerwał mi wampir.

— Tak więc... jestem przecież Najwyższą Wiedźmą Dogewy... to mój święty obowiązek wobec wypłaconej za półtora roku płacy! — gorączkowo zaczęłam się wykręcać. — I w ogóle, Mistrz praktycznej magii nie może stać z boku, kiedy po jego ojczystym kraju beczelnie przechadza się banda łotrów, nie dająca żyć uczciwym ludziom i wampirom!

— W lustrze lepiej się przejrzyj, Mistrzu, — westchnął Rolar.

Przez głupotę spojrzałam. No tak... Do pełni obrazu brakowało jeszcze tylko zbutwiałego w połowie całunu. Zresztą, całkowicie zastępowała go wyświechtana kurtka, która jeszcze dwa miesiące temu była całkiem nowa. Ale to przecież nie powód żeby mnie zakopywać!

— Trele morele — burknęłam. — Po prostu trochę się zmęczyłam.

— A do tego jeszcze trochę złamałam nogę i odrobinę zmizerniałam aż do kości — przytaknęła Orsana, a Wal z zabójczą szczerością podsumował:

— Nie, foczka, wdepnęliśmy w jedno i to samo zdrybu thaja<sup>8</sup>, przy czym, w odróżnieniu od tego złego wampira, doskonale zdając sobie sprawę, w co się pakujemy!

— Nawiasem mówiąc, ktoś mi mówił, że za darmo to tylko upiory wyją — dociełam. — A to zajęcie wybitnie dobrowolne, w ramach pracy społecznej! Skąd więc taki entuzjazm?

— Foczka — Wal pobłażliwie klepnął mnie w ramię, — wybitnie dobrowolnych zawieruszek, podczas których zwycięzcy cokolwiek rzeczywiście by nie przypadało w udziale, po prostu nie ma! A nasz wampir niech i się rzuca, ale nie posiada się z radości, że się do niego przyczepiliśmy, chociażby i tylko dla moralnego wsparcia, za które potem z niego zedrzymy!

Ponieważ dla trolli najemników najbardziej zbliżona do pojęcia „bezinteresownie” była zgoda na pracę bez zaliczki, z szacunkiem przeciągnęliśmy „o-o-o-o...”, a ja ukradkiem ściągnęłam jeszcze kawałek słoniny.

— Już wystarczy — westchnęła Orsana, na wszelki wypadek przykrywając półmisek rękami, — wydaje się że, oprócz nas, Lena tutaj nikt nie zamierza wspierać. I po czemu oni tak na niego naskoczyli, szo?

Rolar zupełnie odruchowo wzruszył ramionami — znał odpowiedź:

— Widocznie, uznali, że Len przyjechał do Lesku dla wyrównania rachunków z ich Władcą. Przed wojną coś takiego się zdarzało i czasami nawet

---

<sup>8</sup> „Dosłownie (od trzeciego): bardzo duża ilość świeżego smoczego gówna.”  
[przypis Gromyko]

po kryjomu się spotykano, jednak wtedy wynik pojedynku nie decydował o losie całej doliny. Wątpię, żeby w Dogewie Werda czekało serdeczniejsze powitanie.

— O, Strażnicy sobie poszli! — z ulgą zauważyłam, przypadkowo spojrzawszy w okno.

— Doskonale! — Rolar odsunął talerz i podniósł się zza stołu. — Pójdę więc i się przejdę po dolinie.

— A czy to nie niebezpiecznie? — zaniepokoiła się Orsana, na chwilę zostawiwszy słoninę bez opieki i natychmiast straciwszy jeszcze kilka kawałków, tym razem po prostu capniętych przez Wala.

— Nie. Jak tylko nas wpuszczono do jednego z domów, przestaliśmy być uważani za obcych. Przynajmniej, nie wymagających stałego nadzoru.

Winessjanka pochwyciła zamyślane spojrzenie Wala „co by tu jeszcze na ruszt...” i demonstracyjnie przestawiła półmisek na kolana.

— A mogli nie wpuścić? — zdziwiłam się.

— Z łatwością. — Rolar ściszył głos, patrząc z ukosa na zamknięte drzwi do pokoju gospodyni. — Uczciwie mówiąc, byłem pewny, że nie wpuszczą. Ale Len potrafił jednak odszukać, czy też nieco namówić jedyną serdeczną mieszkankę Lesku. Nie mogę zrozumieć, jak to mu się udało wśród tylu... hm... chłodno nastawionego tłumu, a przy tym nie załamać się i nie zwariować. Nie, jednak dobrze, że nie jestem Władcą... a w młodości to jeszcze siostrze zazdrościłem, głupek ze mnie!

— Ale co takiego jej powiedział?

— Zapewnił, że pierwszy nie chwyci za gword, jeżeli Werd sam nie rzuci mu wyzwania. A ten w ogóle, to ma prawo do zrobienia tego w każdej chwili, jeżeli dojdzie do wniosku, że wróg nadużył jego cierpliwości. Ale jak już mówiłem, Werd nie dureń i jakoś nas ścierpi przez trzy dni.

— A po czemu ona nazwała go Władcą, i jeszcze z takim szacunkiem? — przypomniała sobie Orsana. — Ona ma przecież swojego.

— Tak naprawdę białowłosych od niepamiętnych czasów nazywają Władcami Śmierci — odezwał się Rolar już od progu. — I z nich właśnie wybierano Władców Dolin. A ponieważ po walce wypada wybierać w najlepszym wypadku z dwóch, te tytuły są praktycznie synonimami. Dobra dziewczyny, my idziemy, nie kłóćcie się tu bez nas!

W ostatniej minucie do wampira przyłączył się Wal, zdecydowany rozprostować nogi i popatrzeć na Lesk, uchodzący za najpiękniejszą z wampirzych dolin. Zostało mi tylko smętnie posapać w ślad za nimi, wygodniej moszcząc nogę na drugim krześle.

\* \* \*

W czasie gdy obie z Orsaną gadałyśmy o różnych głupstwach, przy sposobności próbując przywrócić jej naturalną barwę skóry (ale uzyskałyśmy tylko równomiernie niebieskawą; racja, poszperawszy w pamięci pocieszyłam ją, że za dwa-trzy tygodnie upiorna twarz wyblaknie sama z siebie), ściemniło się. Gospodyni domu, nienatrétnym cieniem snując się po jadalni, rozpałiła ogień w kominku i zabrała puste naczynia, w zamian postawiwszy na środku stołu półmisek z gorącymi bułeczkami.

Apetyczny zapach i stukanie kubków w końcu wywabiło z pokoju Lena — zaspanego, rozczochranego i z jeszcze bardziej zmęczonym wyglądem. Podszedł do stołu, na minutę zamarł, ukrywając twarz w dłoniach, potem zdecydowanie potrząsnął głową, nalał sobie mleka z dzbanka, wyciągnął rękę po bułeczkę i, przelotnie spojrzawszy na mnie zauważył:

— I nie ma potrzeby tak gniewnie na mnie milczeć!

Zamilkłam jeszcze gniewniej. Możliwe, że stałoby się to początkiem ożywionego omawiania spraw o szczególnie osobistym charakterze, a już bardziej, awantury między „kochankami”, ale wtedy wrócili Wal z Rolarem.

— „Czarny Lis” do portu w ogóle nie zawijał — wprost od progu zaskoczył nas arlissjanin. — I do brzegu nigdzie nie przybijał, a na redzie teraz nie ma ani jednego statku.

— I gdzie też nam go teraz szukać? — z rozczarowaniem zauważyła Orsana.

Arlissjanin bezradnie rozłożył ręce. Ze złości grzmotnęłam pięścią w stół:

— Wychodzi na to, że na próżno tutaj przy płynęliśmy?

— Zależy z czyjego punktu widzenia. — Len spokojnie dopił mleko, podniósł się i pod naszymi pełnymi zdziwienia spojrzeniami podszedł do drzwi — jak raz w tej samej chwili, kiedy krótko i gwałtownie w nie zastukano.

Skuliłam się od wpuszczonego do pokoju wiatru. Stojący na progu Strażnik ostentacyjnie ale oficjalnie przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął w stronę Lena przewiązany czarną wstążką zwitek, skleiony czarnym lakiem z pieczęcią.

— Wr'aest tharn, — sucho powiedział Władca Dogewy.

Posłaniec wstał, skłonił się i nadal cały czas milcząc przepadł w ciemności. Len zamknął drzwi, ale na nas jakby nadal wiało chłodem i przytłaczającym przecuciem kolejnego świństwa ze strony do reszty rozzuchwalonego losu. Nikt się nie poruszył, póki wampir, trochę odczekawszy, w złowieszczo brzmiącej ciszy, z chrzęstem nie złamał pieczęci, potem jeszcze jednej, i pobieżnie, jakby dla formalności, przebiegł oczami po rozwiniętym liście. Czy to ironicznie, czy też potwierdzająco chrząknął.

— No szo tam? — nie wytrzymała Orsana.

Władca Dogewy powoli zgniótł papier i rzucił go w ogień. Pergamin poczerniał i jaskrawo buchnął płomieniem, oświetliwszy poprzecinaną cieniami, jak gdyby wyciosaną z granitu twarz wampira.

— Władca Lesku, Sia-werden tor OrdIpael Virr'ta, wyzwiał mnie na pojedynek. Dzisiaj o północy, na rytualną broń.

\* \* \*

— Nie możesz się z nim bić!

— Rolar, zabierz ją ode mnie. — Len, stojąc przy oknie, lewą ręką w skupieniu zaciągał sprzączki prawego karwisza.<sup>9</sup>

Z pozostałym ekwipunkiem już się uporał: czarny obcisły bezrękawnik pod szyję, z wycięciami na skrzydła, na nogach — w takim samym stylu spodnie i wysoko, gęsto sznurowane buty. Włosy zaplecione w krótki — góra na trzy palce — warkoczyk, z którego po bokach wydobyło się, po kilka krótkich kosmyków włosów. I gword, na razie niedbale oparty o ścianę.

Rolar zabrał mnie w dosłownym znaczeniu tego słowa — objął za plecy, przycisnąwszy ręce po bokach, mimo gniewnych krzyków odniósł do wyjścia, ostrożnie wystawił za próg i zatrzasnął drzwi. Chciałam kopnąć je nogą, ale w porę przypomniałam sobie, że nie mam już ich tak wiele i tracić ostatniej przez jakiegoś wampira nie warto. Niech będzie, popilnuję na ganeczku — przez komin przecież nie wylecą!

Czekać wypadło niedługo, najwyżej dziesięć minut. Jeśli Len miał nadzieję, że się znudzę i sobie pójdę, albo pożre mnie jakiś nierozważny wilkołak, to srodze się rozczarował, ale nawet brew mu nie drgnęła, gdy przechodził obok mnie, jak obok pustego miejsce.

— Wolha, może ty na nas tu poczekaasz? — nieśmiało poprosiła Orsana. Spojrzałam na nią w tak znaczący sposób, że przyjaciółka tylko westchnęła i wyciągnęła do mnie rękę ale ostentacyjnie ją zignorowałam.

W sumie procesja (inaczej nazwać tego ponurego pochodu język nie potrafił) wyglądała tak: na jej czele stanął Len, w czarnym ubraniu, wydający

---

<sup>9</sup> **Karwasz** – jeden z elementów broni ochronnej. Karwasze służyły do ochrony całego przedramienia wojownika, czasami zachodząc także na łokieć. Najczęściej spotykane były dwa typy: skórzany szeroki pas zapinany na przedramieniu za pomocą klamer lub rzemienia, bądź żelazne składające się z dwóch odpowiednio ukształtowanych kawałków płytowych, przedniego i tylnego, łączonych za pomocą zawiasów i spinanych małymi sprzączkami na skórzanych paskach. Karwasze były również stosowane przez łuczników jako ochrona przedramienia przed uderzeniami cięciwy. Karwasze łucznicze wykonane były z grubej świńskiej skóry związanej rzemieniami.

<http://www.google.pl/search?q=karwasz+obrazki&hl=pl&biw=1024&bih=605&prmd=ivns&tbm=isch&tbo=u&source=univ&sa=X&ei=kEzdTYaZB43LtAaG9bTIDg&ved=0CBoOsAQ>

się przez to trupioblady; po jego bokach, pozostając w tyle o krok, szli Rolar i Orsana. Za nimi, zarzuciwszy na ramię dwuręczny miecz, kaczym chodem maszerował Wal, z pomocą drzazgi dogłębnie eksploatujący pokłady wartościowych kopalin między zębami.

Z tyłu, w pewnym oddaleniu, kuśtykałam ja (z takim tryskającym, „zdrowiem” wyglądem, aby akurat iść na przedzie przy smutnej muzyce), z złośliwą satysfakcją zauważając, że przyjaciele raz po raz rozglądają się z niepokojem. Oprócz Lena. Zresztą, nie miałam wątpliwości, że działałam mu na nerwy nie mniej niż on mnie.

Czy to my się spóźniliśmy się, to czy Werd się niecierpliwił, żeby jak najszybciej zacząć i skończyć, ale on (w towarzystwie dwóch Strażników) już stał na umówionym miejscu. Prawda, wyraz twarzy miał ponury i niezadowolony, jak gdyby to nie on, lecz my wyrwaliśmy go z łóżka i zmusiliśmy, jak idioci, do przestępowania z nogi na nogę na małej polance pośrodku lasu. Ale Władca Lesku nie zaczął czynić nam wyrzutów za spóźnienie i ledwie zaszczycił przeciwnika skinieniem głowy, zdjął i niedbale rzucił swoją kurtkę jednemu ze Strażników. Drugi z szacunkiem podał mu gword.

Len niósł sam swoją broń i tylko ujął ją obiema rękami, ale nie spieszył się wysuwać ostrzy, czekając, póki Werd nie zajmie bojowej pozycji na przeciwległym brzegu polany.

Rytualny gword przypominał dwuarszynową laskę z twardego, czymś nasączonego drewna o czerwonym odcieniu, w jednej trzeciej części pokrytej żelazem. Żadnych deseni, ozdób, grawerowań — tylko wypolerowane przez dłonie drzewo i imponująca ilość zadrapań na okuciu. Ważył niewiele więcej od zwykłego miecza, ale trzymać go należało obiema rękami, na dwie piędy odsunawszy się od końców. W środku ukrywała się klinga — trzy szczelnie przyciśnięte do siebie nawzajem ostrza, zrównoważone ciężką rękojeścią o wyglądzie wilczego pyska — u Lena, a orlej głowy — u Werda. Jeśli w zwykłym gwordzie klinga wyskakiwała i rozchodziła się automatycznie przy uderzeniu, to tutaj wojownik mógł sam regulować długość i kąt jego otwarcia, ograniczywszy się do klutej rany, albo do dosłownie wypatroszenia przeciwnika. Len pewnego razu pokazywał mi, jak to się robi, ale ja nawet ze zwykłym mieczem nie umiałam za dobrze żyć w zgodzie, a już poprawnie obliczyć nachylenie, szybkość i moment obrotowy gworda w każdej chwili zadania ciosu nie potrafiłabym tym bardziej.

Polankę oświetlał tylko sierp księżycy i jasno świecące stradeńskie<sup>10</sup>

---

<sup>10</sup> Stradeń (belorsk.) — ostatni miesiąc lata. [przypis Gromyko]

gwiazdy. Trawa pod nogami, krótka i miękka, wydawała się jak gdyby specjalnie ją wysiano, ale zdaje się, że jej już dawno nikt nie niepokoił, dawszy spleść się w gęstą i szczelną darni.

Na polanie nikogo nie było, oprócz nas i Strażników. Przyszło mi na myśl, że mieszkańcy Lesku nie podejrzewają nawet, co się dzieje w najświętszym lasku za miastem. Cóż, trzeba oddać Werdowi należyty honor? — z tej przewagi nie skorzystał. Spróbujcie stoczyć walkę z przeciwnikiem, którego wspiera wielotysięczny tłum, gotowy w przypadku jego porażki rozerwać zwycięzcę na strzępy!

Rolar pociągnął mnie za rękaw, zmusiwszy do wycofania się w cień pod drzewami.

Werd w końcu powoli doszedł do potrzebnego miejsca (nawet ja bym szybciej dokuśtykała!). Przeniósł ciężar z nogi na nogę, pochylił się i podciągnął cholewę buta. Wyprostował się. Gwordem w prawej ręce zrobił powolny półobrót i z cichym klaśnięciem położył na nim drugą dłoń. Werd z zamyśleniem spojrzął na podrapane okucie i... nie, nie przesunął się, a bezdźwięcznie, błyskawicznie przyjął bojową postawę. Len jak gdyby w lustrzanym odbiciu powtórzył nieuchwytny dla ludzkiego oka manewr.

Nagle zrobiło mi się niedobrze. Oczywiście i wcześniej zdawałam sobie sprawę, że idziemy na spacer bynajmniej nie w celach rozrywkowych, ale jedna sprawa — zdawać sobie sprawę a całkiem inna — na własne oczy zobaczyć, że żartować tu naprawdę nikt nie ma zamiaru! Udać omdlenie, czy może, przewrócić się? Nie, z wampirami ten numer nie przejdzie... tylko wyśmieją albo też w ogóle w milczeniu za nogi gdzieś w krzaki odciągną, żebym nie przeszkadzała.

— Tekkst er? — czy to zapytał się, czy też uściślił Władca Lesku.

— Wei'kk, — kiwnął głową Len.

Widziałam już jak walczą wampiry... ale nie jasnowłose. Nie było żadnego ostrzeżenia, ani pozorowanych ciosów-wypadów — tylko złudna cisza „do” i zwariowany wicher „po”. Pojąć, gdzie Len, a gdzie Werd, było niemożliwe — po polanie miotła się, zdławionym głosem ryczała, łopotała skrzydłami jednolita bryła ciemności, w której było widać przebłyski błyskawic ostrzy.

Drzewa dookoła polany rosły dość rzadko, ale żaden z wampirów nie przeciął nienamacalnej granicy nawet brzeżkiem ubrania, jak gdyby wojowników i widzów oddzielała magiczna ściana. Wydawało się: wysuń za nią podniesioną z ziemi gałązkę — a ona natychmiast rozleci się w drobne drzazgi.

Napięcie narastało. Im dłużej nic się nie działo, tym wyraźniejszym się stawało, że lada chwila nieuchronnie coś się wydarzy. A kiedy z czyjegoś



gworda, zakreślającego w locie łuk, zerwały się i gwiazdkami rozprysły się po mojej kurtce ciemne krople, nie wytrzymałam. I zmrużywszy oczy, rzuciłam się w największy gąszcz walki, malowniczo wyobrażając samą siebie w zamkniętej trumnie.

Oni zatrzymali się natychmiast, w takich swobodnych pozach, jak gdyby jeszcze nie zaczęli pojedynku. Obaj patrzyli na mnie, jak szlachetnie urodzone damy na karalucha, który podczas dyplomatycznego przyjęcia spadł z sufitu na środek stołu. Kto kogo zranił, tak i nie udało mi się dowiedzieć.

— Arr'akktur, tokkin wa shainn, — znudzonym głosem poprosił Werd.

Z gniewu nawet tłumaczenie nie było mi potrzebne.

— Nie jestem jego narzeczoną! Ale przyjaciółką i nie pozwolę...

— Przyjaciele — szyderczo przerwał Władca Lesku, — nie wtykają nosa w nie swoje sprawy, jeżeli nie chcesz do końca życia nosić go w kieszeni. On sam dokonał wyboru i ponosi tego konsekwencje. Zabieraj się z kręgu, dziewczyno!

— Wolha, odejdz!

Nie zaszczyliłam Lena nawet jednym spojrzeniem, a już tym bardziej nie zamierzałam posłuchać Werd.

— Ghyr z wami dwoma! To z mojego powodu Len przyjechał do twojej parszywej doliny, chociaż wcale go o to nie prosiłam! I jeżeli tak już nie możesz wytrzymać żeby go zabić, to zacznij ode mnie!

Na nie wyrażającej żadnych uczuć twarzy Władcy Lesku po raz pierwszy przemknęło coś ludzkiego. Słuszniej, naturalnie wampirzego.

— On przysłał mi wyzwanie, — powoli powiedział Werd, patrząc mi prosto w oczy. Skuliłam się, chociaż wiedziałam, że odczytać moich myśli nie może — niejednym raz wypróbowywany na Lenie magiczny blok wytrzymał dwadzieścia minut. — Twoim zdaniem, powinienem być odmówić?

— Ja! — tak szczerze zmieszał się Len, a razem z nim i my, że Władca Lesku przestał się w końcu sarkastycznie uśmiechać i ze zdumieniem wzruszył brwiami. — Sia-werden, z całym szacunkiem, Pańska odrąbana głowa interesuje mnie w taki samym stopniu co — cała!

Znacząco prychnęłam i skrzyżowałam ręce na piersi. Zdumiona wymiana spojrzeń wszystkich ze wszystkimi zajęła pięć minut. Szczególnie starała się Orsana.

— Pokażcie zwitek — niespodziewanie pokojowo poprosił Werd, stawiając gword ostrzami do góry i opierając się na nim, jak na kopii.

— Spaliłem go — ze zmieszaniem wyznał Len. Władca Lesku zgodnie skinął głową:

— Ja również. To tradycja. Rolar?

Arisjanin z szacunkiem pochylił głowę:

— Widziałem posłańca i wyzwanie na własne oczy.

— Teraz już nie będziecie walczyć, prawda? — żałośnie zapytałam czując, że zaraz się rozplacę. Jasnowłosi wymienili spojrzenia.

— T'ta melli karr'st, Arr'akktur — ironicznie zauważył Werd. Przeciągnął po złączonych ostrzach opuszkami palców, potem znacząco dotknął ich językiem. — K'kan allaen..

— Shenn ta — wyrażając niezadowolenie rzucił Władca Dogewy, opuszczając gword i wychodząc z kręgu.

Werd tylko się uśmiechnął, nie szyderczo, jak wcześniej, ale jakby ze współczuciem. Chociaż rozróżnić cokolwiek w ciemności było trudno. Władca Lesku zatrzasnął gword i poszedł sobie, nie oglądając się. Skrzydlata świta, nie wymówiwszy ani słowa, bezszelestnie przesunęła się w ślad za nim. Len, nie zwracając uwagi ani na nich, ani na nas, takim samym szybkim krokiem udał się z powrotem do domu. Coś podpowiedziało nam, że wołać go albo gonić za nim nie powinniśmy.

— Kto zadał to uderzenie? — szepnęłam, licząc na to, że Rolar zobaczył więcej ode mnie i Orsany. Odczekawszy chwilę, wampir niechętnie wyznał:

— Werd. On jest o wiele starszy i... hm... bardziej doświadczony. Len jeszcze nigdy nie musiał walczyć z jasnowłosym. Zresztą, do pierwszego razu trzymał się całkiem nieźle — pośpiesznie dodał wampir, spojrzawszy na moją i Orsany twarz.

— A w ogóle miał jakąś szansę? — zdretdziawszy, uściśliłam.

Arlisjjanin przemilczał, grzebiąc w ziemi noskiem buta i bacznie studiując rezultat.

— Ależ oczywiście, postawiłbym na niego parę miedziaków, jeden do pięciu, — chrząknął bardziej cyniczny troll. — Dobra, idziemy stąd, bo mnie już komary do reszty zgryzły!

W końcu do nas dotarło, że tkwić pośrodku wilgotnego, ciemnego lasu, kiedy z takim samym powodzeniem można porozmawiać po drodze, to głupota.

— Przecież mówiłeś, że doskonale ich znasz! — nie mogąc się powstrzymać, wypomniałam Rolarowi. — A pojedynek o mało co się nie odbył, a ty nawet palcem w bucie nie kiwnąłeś, żeby temu przeszkodzić!

— Widzisz, Wolha... — Wampir na wszelki wypadek odgrodził się ode mnie Walem i dopiero wtedy, tłumiąc śmiech dokończył: — Ja równie dobrze znam ciebie.

— Ddd.... doradca — byłam w stanie tylko wypuścić głośno powietrze. Sił aby obieć trolla nie miałam, i tak wlokłam się na równi z przyjaciółmi ostatkiem

sił, a raczej, dumy.

— Za to — optymistycznie zauważyła Orsana, — teraz wiemy, szo jakiś drań po Lesku wciąż hula! Wyzwanie przyniosła nam wcale nie myszka. Jak sobie chcecie, jak nie sam czarownik, to jego wampir, a Werd na pewno wie, gdzie go szukać!

Znacznie otrzeźwieliśmy. Po ożywionej dyskusji zostało postanowione, że szukanie wampira po ciemku — to zły pomysł, należy poczekać do rana (z tego powodu jak raz nikt nie rozpaczał, wszyscy szalenie chcieli spać albo chociażby po prostu się położyć), a dopiero potem rozwinąć burzliwą działalność z zastosowaniem magii, telepatii, krasomówstwa i bacznej obserwacji (co czasami okazuje się najbardziej skuteczne), tym bardziej, że dysponowaliśmy specjalistami we wszystkich tych dziedzinach.

Pochłonięci rozmową, z przyjemnym zdziwieniem odkryliśmy, że już dotarliśmy do domu, kiedy tylko oparliśmy się o drzwi. A, gdyby nie znany ze swojej praktyczności troll, przesterczelibyśmy na progu bitą godzinę, burzliwie gestykułując w takt układanego planu.

Drwa w kominku zdążyły się już przepalić, w domu było ciemno i cicho. Mimo woli ściszyliśmy głosy i natychmiast zgodnie zaczęliśmy ziewać. Życząc sobie nawzajem spokojnej nocy, przyjaciele rozeszli się po pokojach, a ja po omacku udałam się szukać wiadra z wodą (ponieważ z lenistwa nie chciało mi się tworzyć pulsara) i nawet bardzo dźwięcznie znalazłam (zadźwięczało gdy na nie wpadłam). Łapczywie napiwszy się i zmoczywszy skronie (zmęczenie, zamiast się cofnąć, ogarnęło mnie z podwojoną siłą; musiałam nawet oprzeć się o ścianę, aby złapać oddech), pokuśtykałam do naszego wspólnego z Orsaną pokoju, z mocnym postanowieniem zwalenia się w butach prosto do łóżka i niech tylko ktoś odważy się mi w tym przeszkodzić!

Ale zamiast tego z jakiegoś powodu uchyliłam drzwi do sąsiedniego pokoju.

Len, jak poprzednio, cały ubrany na czarno, leżał na kołdrze na łóżku, założywszy ręce za głowę i utkwivszy wzrok w suficie. Nieśmiało zakasłałam:

— Mocno cię zranił?

— To tylko draśnięcie.

Kiedy to mówił, nawet nie spojrzał w moją stronę!

„Dość tego — ponuro pomyślałam, — moja cierpliwość się skończyła!” I ze złością zatrzęsłam drzwiami... zostawszy wewnątrz pokoju.

Ignorowanie agresywnie nastawionej wiedźmy w zamkniętym pomieszczeniu, o wymiarach półtora na dwa sążnie, okazało się o wiele trudniejsze. Lenowi wypadałoby chociaż zerknąć na mnie okiem —

prawdopodobnie, żeby w razie czego wiedzieć, w którą stronę uciekać.

W zasadzie można było ograniczyć się do myśli, ale chciałam usłyszeć chociaż jeden głos na swoją korzyść. Choćby i mój własny. Tak że nabrałam trochę więcej powietrza i z patetycznym zadęciem (och, przesadziłam... mimo woli pobrzmiwające w moim głosie wycie zmieszało mnie samą, a Len w przerażeniu podskoczył na łóżku, wreszcie obróciwszy się do mnie twarzą) zaczęłam:

— Zmuszona jestem Was rozczarować, Władco: chcecie tego czy nie, ale już tu jestem! Z nogą czy bez nogi — Was to nie dotyczy, ponieważ sama decyduję, co i jak mam robić...

Natchniona mowa została przewidziana na pięć minut, ale przeklęta noga nie chciała wysłuchać jej do końca, ugięła się w najbardziej niewłaściwym momencie. Kiedy magia kolejny raz przepędziła zasnuwający wzrok ból, Len siedział na podłodze obok mnie.

— Wszystko porządku — wycedziłam przez zęby. — Zapomniałam odnowić zaklęcie znieczulające...

Władca Dogewy milczał, uparcie wpatrując się w podłogę, jak gdyby posiadał jeszcze i zdolność widzenia przez przedmioty, a w piwnicy stała beczka z miodem pitnym. Domyślić się, o czym myśli, było niemożliwe. Speszyszyszy się, nieco spuściłam z tonu:

— No dobrze, to, że nie chcesz się ze mną ożenić... przynajmniej zrozumiałe... — Powiedzenie tego okazało się nieprawdopodobnie skomplikowane, za to dalej poszło dużo łatwiej i bardziej zdecydowanie: — Ale po jakimś ghyra odmawiasz mi w prawa do bycia twoim przyjacielem? Za co?!

Wampir wreszcie podniósł głowę, i ze zdumieniem zrozumiałam, że nie tylko nie jest zły, a wydaje się przygnębiony i zmieszany nie mniej niż ja.

— Wolha, chcę tego najbardziej na świecie. Od pierwszej chwili, gdy cię po raz pierwszy ujrzałem. — Len wziął moje ręce w swoje, czule pogłaskał białą, nieopaloną paseczkę na moim serdecznym palcu i dotknął go wargami. Potem zdecydowanie spojrzął mi w oczy. — Ale wolę już w ogóle nie mieć żony, niż gdyby miałyby być martwa. To już lepiej, żebym to ja był martwy.

Zabrakło mi tchu, ale jednak znalazłam w sobie siły żeby zadziornie zaprotestować:

— A skąd ci przyszło do głowy, że martwy mąż mnie także nie porywa?! Oczywiście, na potrzeby wesela mogę zrobić z ciebie nawet bardzo rześkiego zombi... — W tak realny sposób wyobraziłam sobie narzeczonego w welonie (w celu uniknięcia nieszczęśliwych wypadków wśród gości o słabych nerwach) i narzeczoną o kulach, że tego już wampir nie wytrzymał i się roześmiał. — Ale

Len, niepokoję się o ciebie nie mniej niż ty o mnie! Wolę z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku majestatycznie przejechać się w białych pantofelkach przed Trójcą Starszych Rodu, z Kellą do pełnego kompletu, niż gorliwie łkać nad świeżym grobem! Przy czym, do tego jeszcze go kopać, a potem przez całe życie pielić! Ale dość już tego!

Łkać Len zgodził się i sam, przy czym już zaczął trenować. Wychodziło mu nawet nieźle, tylko nazbyt optymistycznie.

— Krótko mówiąc — nabrawszy otuchy, dokończyłam, — odstępować ci tego zaszczytu nie zamierzam, nie miej nadziei! Tak, że albo będziemy rozwiązywać problem obłąkanego czarownika razem, albo zabieram się za niego w pojedynkę, a ty się wstydz!

— Zgoda. Poddaję się. — Wampir wsunął jedną rękę pod moje kolana, a drugą objął w poprzek plecy. — Chwyć się!

— Co robisz?! — Nie zdążyłam się opamiętać, kiedy już się wyprostował, jakby nie czując mojego ciężaru.

— Chcę zanieść cię do łóżka. Wolisz, żebym zawłókł cię za nogi? — Len udał, że chętnie mi się podporządkuje i instynktownie złapałam go za szyję. — Jutro mamy wiele spraw, tak, że bądź tak łaskawa i wyśpij się jak należy, Najwyższa Wiedźmo! I jeśli jakimś cudem — a po cóż nam jeszcze potrzebni magowie? — wrócimy do Dogewy, możesz liczyć na nagrodę w wysokości połowy uposażenia!

— A dlaczego tylko połowy?! — z ogromnym trudem udając sprawiedliwy gniew, podniosłam głos. — A dodatek za godziny nadliczbowe? A chorobowe?!

— Jeszcze i o delegacji nie zapomnij! — chrząknął wampir, opuszczając mnie na łóżko.

— Wyzyskiwacz!

— Szantażystka!

— Sknera!

— Wiedźma!

— Upiór!!! Len?

— Tak? — Nagle i bez żadnego zdziwienia przeszedł na spokojny, życzliwy ton.

— Nie odchodź — cicho poprosiłam, przytrzymując go za rękaw. — Posiedź ze mną przynajmniej dopóki nie zasnę...

— Nie odejdę. — Len ostrożnie, żeby nie poruszyć mojej chorej nogi, ulokował się na skraju łóżka. I już po chwili, w gęstniejącej, subtelnej ciszy ledwie słyszalnym głosem dodał: — Nigdy.

\* \* \*

Chyba niezręcznie przekreśliłam się we śnie, bo obudziłam się z doskwierającym bólem w nodze. Szybko zrobiłam z nim porządek, ale o wiele bardziej skomplikowane okazało się doprowadzenie do ładu, kotłujących się w głowie myśli. Z kwadrans posiedziałam na łóżku, patrząc w zalane przez światło księżycy okienko, potem nie wytrzymałam i zaczęłam stanowczo tarmosić leżącego obok mnie wampira:

— Len... no Le-o-on! Proszę, obudź się! Nie śpij! Mam do ciebie bardzo ważną sprawę!

— Jaka? — sennie mruknął wampir, robiąc opieszłą próbę ukrycia się przede mną pod poduszką, ale na wszelki wypadek zabrałam i kołdrę. Czekająca nas istotnie poważna rozmowa i rozpraszających czynników powinno być jak najmniej.

— Len, słuchaj... ty to... może, jednak wyjdiesz za mnie? Tfu, ożenisz się! Co?

— Dobrze, wyjdę... — mruknął Władca Dogewy, obracając się do mnie plecami.

Z zakłopotaniem skierowałam wzrok na dwa złożone skrzydła, nie wiedząc, czy uważać to oświadczenie za oficjalną odpowiedź, czy też za próbę pozbycia się nocnego koszmaru w postaci mojej osoby, gdy nagle Len zaczął po cichu chichotać, a potem roześmiał się na cały głos i gwałtownie się odwróciwszy, wziął w objęcia.

— Wolha, ja cię uwielbiam! Ależ oczywiście, że chcę się z tobą ożenić! Jesteś wredną, złośliwą, upartą, rudą wiedźmą, ale nie wyobrażam sobie, co bym bez ciebie zrobił. Nie przestanę cię kochać ani za pięćdziesiąt, ani za sto lat i gwizdę na to, że chodzisz w podartej kurtce, ponieważ moja jest jeszcze gorsza. Razem pojedziemy do Jesionowego Grodu, do najlepszego elfiego jubilera i wybierzemy ci nowy pierścień — jakiego tylko zapragniesz, chociażby w nosie, jak u orków i on będzie tylko twój, a o naszym weselu będą krążyć legendy, ponieważ przypomnieć sobie szczegółów tygodniowej zabawy nie będą w stanie nawet najbardziej zahartowani w picciu pitnego miodu i najlepsi w swym fachu minstrele! Ale... tylko wtedy, jeżeli ty sama tego będziesz chciała. Rozumiemy się?

Nie odpowiedziałam. Ponieważ ta chwila należała do czynów, a nie do słów. Wydłużyła się w godziny, lata, wieki — lub po prostu czas stanął w miejscu i przestał w ogóle mieć znaczenie, jak i moje głupie obawy...

... niepotrzebnie się kiedyś martwiłam — kły zupełnie nie przeszkadzały!..

Ale pierwsze, co zrobię jako Władczyni Dogewy — to wprowadzę karę śmierci za stukanie do drzwi w nieodpowiednim momencie!!!

Nawet nie podejrzewałam, że Len zna takie słowa. Prawdopodobnie odczytał moje myśli. Potem zerwał się z łóżka i poszedł do drzwi, a ja pośpiesznie naciągnęłam kołdrę aż po same pachy i wyciągnęłam ręce na wierzch, żeby nikt nie zaczął mieć wątpliwości, że wydaję ostatnie tchnienie, a Len z poświęceniem osładza moje ostatnie godziny.

Na progu stał Rolar z ponurą miną, zza jego ramienia zerkała zatrwożona Orsana. Z tyłu, w półmroku, majaczyła ciemna, trollopodobna masa.

— Mamy problem, Len — bez ogródek palnął wampir.

— A któż by wątpił — westchnął Władca Dogewy, wpuszczając przyjaciół do pokoju.

Zobaczywszy mnie, nie tylko się nie zdziwili, ale nawet nie pomyśleli, aby okazać współczucie, wydajęcej ostatnie tchnienie przyjaciółce. Wal to w ogóle tak niedbałe klapnął na łóżku w moich nogach, jakbym dysponowała ich niewyczerpanym zapasem. Orsana zamknęła drzwi i zatrzasnęła okiennicę, wcześniej podejrzliwie wyjrzawszy przez okno. Te przygotowywania bardzo mi się nie spodobały, zmusiwszy na wszelki wypadek, do wniesienia swojego wkładu w postaci magicznej osłony przed podsłuchiwaniami.

Len skinął głową, zachęcając Rolara do rozpoczęcia opowiadania.

— W krzakach koło placu znaleziono martwego Strażnika. Jak się okazało, ze ściętą głową... — Arlisjanin zająknął się i ze zmieszaniem poprawił: — całkiem martwego. To Posłaniec, który przyniósł ci zwitek.

Rewelacje te istotnie w jednej chwili zmusiły nas do zapomnienia o wszystkim innym.

— Skąd wiesz?! — wypaliliśmy w tej samej chwili.

— Orsana usłyszała jakiś podejrzliwy rwetes na ulicy i nas obudziła. Poszliśmy na plac i spojrzeliśmy na trupa, a potem udaliśmy się w gości do Werda. Oczywiście, pod przysięgą zapewniwszy go, że to nie ty nas przysłałeś! — szybko uściślił Rolar.

Władca Dogewy mimo wszystko przeszył go wściekłym spojrzeniem, a ja z wielkim zainteresowaniem zapytałam:

— I co?

— Najpierw potraktowano nas tam na podobieństwo obrażonego bazyliuszka, ale potem dość pokojowo porozmawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że ktoś w imieniu Werda polecił Strażnikowi wręczyć Lenowi wyzwanie, a kiedy ten szedł zdać meldunek o wykonaniu zadania, zwabiono go w odosobnione miejsce i zabito.

— A w jaki sposób otrzymał zwitek Władcy Lasku? — nie mogąc powstrzymać ciekawości, zapytał Len.

— Jakiś wampir przekazał go jednemu z wartowników Domu Narad i natychmiast się oddalił. W ogóle, to takie rzeczy należy przekazywać do rąk własnych — wyjaśnił Rolar dla mnie i Orsany, — ale Werd, oczywiście pomyślał, że to byłem ja i doszedł do wniosku, że po prostu nie zechciałem stać się „czarnym zwiastunem”. Nawiasem mówiąc, wiadomość o przyjeździe Lena po prostu podrzucono mu na stół i wartownicy do tej pory gubią się w domysłach, jak nieznany „życzliwy” zdołał przeniknąć do Domu i do tego jeszcze pozostać nie zauważonym.

— Wlaził przez okno, ot wielka rzecz — wzruszył ramionami troll. — Popatrzyłem, nie tak znowu i wysoko — wystarczy podskoczyć i podciągnąć się.

— A Straż? — podrzucił myśl Rolar. — Tam nawet mysz się nie prześlizgnie!

— Trzeba tam pójść i zbadać miejsce przestępstwa! — zapaliłam się do pomysłu. — A jeśli tam utrzymały się jeszcze magiczne ślady zabójcy?!

— Wampira? — sceptycznie uniósł w górę brwi Len, powściągając mój zapal. Wampira za pomocą magii rzeczywiście ghyr wyśledzisz, a człowiek nie zdołałby zaskoczyć zniecka Straży.

— Tam wystarczy i zwykłych strażników — uspokoił mnie Rolar. — Werd postawił na nogi, cały Leski garnizon i podwoił ochronę granicy. Straż już zaczęła przeczesywać dolinę, tak, że nam pozostaje tylko czekać, aż pułapka na myszy się zatrzaśnie.

— I nagle zamiast myszy w pułapkę wpadnie potężny, przebiegły i ogromnie zły szczur? — zaniepokoiłam się. — Obawiam się, że przytrzaśnięty ogon nie zrobi czarownika bardziej zgodnym.

— Jeśli czarownik jest gdzieś w Lasku, to nastrój u niego naprawdę nieszczególny — z złośliwą satysfakcją w głosie poparła mnie Orsana. — Przez Wolhę jego plan skłócenia wampirów runął (ja przybrałam dumną postawę) i najwyraźniej zrzucić zabójstwa na poległego w pojedynku Władcę również się nie udało (Len się spieszył). Teraz na pewno, podły czarownik miota się po swoim schronie, zastanawiając się, jakby tu jak najszybciej dać z wyspy nogę! A tu jeszcze Straż...

— Nie denerwujcie się, oni nie złączą się sami do niego pchać. Po prostu go wywęszą i zawiadomią Władcę, a on nas.

Powstało we mnie silne podejrzenie, że słowo „wywęszą” Rolar użył w dosłownym jego znaczeniu. Cóż, na wilcze stado istotnie można się zdać. Nawet



przy poszukiwaniu czarowników i wampirów.

Len w zamyśleniu zmierzwił sobie włosy, tak, że złota obręcz zsunęła mu się na oczy i o mało, co nie upadła na podłogę. Wampir ledwie zdążył ją złapać.

— Ciekawie, skąd ten łajdak wziął moją pieczęć?

— Każdą pieczęć można podrobić.

— Wolha, to pieczęć mojego klanu, a nie Dogewy, którą po kryjomu rozbijasz orzechy. Tak-tak, nie wywracaj oczami, wiem wszystko! Uczciwie mówiąc i sam nie jestem bez winy... Tak więc, pieczęć przekazywana jest z pokolenia na pokolenie i jest używana tylko w podobnych przypadkach. Zdobycie jej wzoru po-prostu jest niemożliwe, gdyż jej obecność na dokumencie oznacza, że podlega on bezzwłocznemu spaleniu.

— Bezzwłocznemu? — uszczypliwie uściśliłam.

— Po wcześniejszym przeczytaniu. Nie bądź wredna, Najwyższa Wiedźmo. Na zewnątrz zwitka stawia się zwykłą pieczęć i nie przełamawszy jej, do klanowej dostać się nie sposób. Logicznie rozumując, podrobić ją mógł tylko Werd, który jako... hm... żywo zainteresowana osoba, doskonale zna ją z opisu, albo i widział na przesłanym jednemu z jego krewnych wyzwaniu.

— Albo jakiś inny Władca, który choć raz otrzymał podobny list! — oświeciło mnie.

Len drgnął, ale, pomyślawszy chwilę, przecząco pokiwał głową:

— O ile wiem, przez ostatnie trzysta lat mój ród z nikim, oprócz Virr'ta, nie był na wojennej stopie.

— A sam Virr'ta? — nie ustępowałam. — przecież jego pieczęć również podrobiono!

— Wspólnych wrogów nie mamy. Ale kto powiedział — zachmurzył się Władca, — że ją podrobiono?

— Pieczęć Werda jest na miejscu, — zaoponował Rolar — Nią się nie posłużono. Prawdę mówiąc, Werd sam ją ledwie znalazł, przy czym w mocno nadgryzionym przez myszy stanie.

— Mógł mieć i zapasową.

— A ty masz? — sarkastycznie zapytał arlissjanin.

Len już i sam zrozumiał, że robi z siebie durnia, i przestał burczeć pod adresem krewniaka. Jeszcze troszkę naradziliśmy się, ale bez szczególnego powodzenia. Pomóc Straży w żaden sposób nie mogliśmy, pozostawało tylko czekanie na ich doniesienia. A siedzieć w tym celu w pięcioro na jednym łóżku było całkiem bez sensu.

Musiałam wyjść razem ze wszystkimi — przyjaciele, rozumie się samo przez się, zatrzymali się na progu, czekając mnie.

Pocieszało mnie tylko to, że teraz mogę wrócić o każdej porze.

\* \* \*

Pogodziłam się już z tym, że nie uda mi się normalnie pospać tej nocy i położyłam się dosłownie na minutkę, z przyjemnym zdziwieniem obudziwszy się późnym rankiem. Z jadalni dochodziły to stopniowo podnoszące się, to gwałtownie opadające do szeptu głosy. Tak to bywa, kiedy nie chce się kogoś obudzić, ale czasami się o tym zapomina. Sennie mrużącą oczy wiedźmę powitano okrzykami i z ulgą, i już na cały głos, kontynuowano rozmowę, chociaż jeszcze jedno miejsce przy stole było puste.

— A gdzie Len?

— Poszedł znowu na polanę komary karmić. — Wał obgryzł kurzą kość, celnie rzucił ją do wiadra na pomyje i z kpina w głosie dodał: — a jeżeli któremuś się poszczęści, to i wrony!

— Co?! — Szybko zajrzałam do pustego pokoju. Gworda w kącie nie było.

— Oni po prostu trenują — uspokoił mnie Rolar. — Len poprosił Werda, żeby ten dał mu parę lekcji.

— I on się zgodził?!

— Oczywiście. — Wampir włożył do ust ogromną łyżkę sałatki, ledwie mieszczącą się między kłami.

Westchnęłam. Nic z tego nie rozumiem — uczyć swojego wroga własnych chwytów? Rolar spojrzał na moją zaskoczoną minę i przeżuwszy wyjaśnił:

— Wolha, sens nie w tym, jak dobrze władasz gwordom. Tu większe znaczenie ma zręczność i szybkość, aniżeli to jak bardzo niebezpieczny jest twój przeciwnik, tym większy honor przyjąć śmierć z jego rąk. Nie mówiąc już o tym, żeby zwyciężyć. Zresztą — wampir ściszył głos, — niech lepiej Władcy upuszczą pary teraz i więcej nie będą się dręczyć głupstwami po nocach. A zgodnie z etykietą to jakoś nieprzyzwoicie wygląda — spotkać się i nie stoczyć walki! Choćby dla oczyszczenia sumienia należy tak postąpić.

— Wasz etykieta... — machnęłam ręką, pozwalając Rolarowi samemu się domyślić, gdzie zalecam wsadzić wyżej wymienioną. — Co słyszać?

— Na razie nic. Siedzimy jak na szpilkach, Straży zostało sprawdzić tylko kraniec wyspy. W ciągu dwóch godzin wszystko powinno się wyjaśnić.

Zastanowiłam się i zaczęłam robić kanapkę z wędzoną rybą. Dzięki temu przynajmniej mogłam zająć czymś myśli, a do tego i z pożytkiem.

Wrócił Len — ciężko dysząc, w mokrej od potu koszuli, jak gdyby Werd przegalopował na nim parę wiorst. Ale, ku mojej ogromnej uldze, bardziej

żywego nigdy go nie widziałam.

— Na razie nic, — lakonicznie odpowiedział na wcześniej zespolowo zadane pytanie. — O, dziękuję!

Otworzyłam usta, żeby z oburzeniem zaprotestować, ale było już za późno — Len zaprzychodował moją kanapkę i wymamrotawszy coś przychylnego, zaczął z parsaniem chlapać się nad stojącym w kącie cebrzykiem. Wypadło z urazą zamknąć usta i robić dla siebie drugą kanapkę — bo mi naprawdę zachciało się jeść.

Niestety, z tą drugą poszcęściło mi się wcale nie lepiej niż z poprzednią — nie zdążyłam przeżuć pierwszego kęsa, jak drzwi znowu się otworzyły bez uprzedzenia.

Werd, widocznie także tylko, co zdążył doprowadzić się do porządku, zapinając koszulę już po drodze. Przekonania, że to właściwa droga, na jego twarzy nie było widać. Całkowicie podzielialiśmy jego wątpliwości, czujnie wbijając wzrok w gościa. Wampir, widząc taką jednomyślność, cofnął się do tyłu, ale w porę przypomniał sobie, że jest przecież Władcą tej doliny, włączając w to dany pokój i zdecydowanie przestąpił próg.

Zresztą, jego pierwsze słowa zmusiły nas do pogodzenia się ze wzajemną obecnością.

— Dopiero, co otrzymałem raport od ostatniego Strażnika. — Werd z premedytacją zrobił efektowną pauzę.

Gdyby przeciągnęła się jeszcze parę sekund — to rzucilibyśmy się wytrząsać z niego informację ręcznie. — w Lesku nie ma zabójcy.

— Szo?!

— To niemożliwe!

— Gdzie więc się podział?!

Komentarz Wala nie nadawał się do tłumaczenia, chociaż z uchwyceniem sensu nikt nie miał problemu.

— Wynika z tego, że Straż go przegapiła, Sia-werden? — chłodno stwierdził Len.

— Prawie — wiele mówiącym głosem zaproponował Władca Lesku, ponownie przyciągając powszechną uwagę. — O świcie graniczny patrol wyczuł coś niedobrego, jak gdyby czyjaś obecność — zamazaną i nieokreśloną, — ale Straż nikogo nie dostrzegła. Na wszelki wypadek dokładnie przeczesał podejrzany odcinek, prześledzili źródło swojego niepokoju, aż do morskiej granicy Lesku, a gdy już zamierzali lecieć z powrotem, nieoczekiwanie wynurzył się, dosłownie z pustki, w odległości trzydziestu wiorst od brzegu. Żaglowiec, bez nazwy i rozpoznawczych flag. Zdaje się, że pod osłoną

niewidzialności stał na kotwicy w nieużywanym porcie na drugim końcu wyspy, a kiedy zaczął płynąć, został namierzony.

— I co? Straż przyprowadziła go z powrotem do portu?!

— Nie, był zbyt daleko, niemal za horyzontem, a czas tej zmiany dobiegł końca i Straż zawróciła do brzegu. Strażnicy zmieniają się, co trzy godziny — tcha'arsze z jeźdźcami męczą się i nie mogą dłużej utrzymać się w powietrzu. Dlatego patrolujemy mniej więcej dziesięć wiorst morza dookoła wyspy, Straż akurat zdąży bez pośpiechu oblecieć swój odcinek i wrócić z powrotem.

„I chwała bogom, że nie dogonili!” — zreflektowałam się z opóźnieniem. Ukryć cały statek z załogą, przy czym nie tylko wizualnie, ale i przed wampirzymi zmysłami, jest w stanie jedynie arcymag. Ze Straży i jednego piórka by nie zostało!

Coś mi to przypomniało... wynurzyło się z podświadomości, ale kiedy spróbowałam się na tym skoncentrować, zawstydziło się i schowało się z powrotem.

Władca Lesku ozięble kontynuował:

— Pomimo słabego wiatru, statek płynął bardzo szybko. Według naszych obliczeń, teraz powinien się znajdować w odległości pięćdziesięciu wiorst od Leska. Tcha'arszy latają z szybkością mniej więcej czterdziestu wiorst na godzinę; kiedy zanoszą nas do miejsca, w którym widziano ostatnio statek, on oddali się jeszcze na dwadzieścia — trzydzieści wiorst, jeśli nie więcej.

Szybciutko obliczyłam w pamięci perspektywy powodzenia akcji. Wypadły one jakoś nie za bardzo.

— Na drogę zejdzie dwie — dwie i pół godziny, ale przecież ich trzeba nie tylko dogonić, ale też i znaleźć. Wymknąwszy się Straży, statek mógł całkowicie zmienić kurs, albo znowu stać się niewidzialny!

Werd odpowiedział mi szczerym, wymagającym spojrzeniem.

— I dlatego potrzebna mi pomoc więdmy. Przy ganku czekają najszybsze i najbardziej wytrzymałe konie. Tylko dla nas. Z wyliczeniem, że albo odpoczniemy na pokładzie, albo... nie wrócimy.

— Korr'ki lein ta irra shainn? — zmrużywszy oczy w szparki, wyzywająco zainteresował się Len.

— To jednak — przyjaciel czy narzeczona? — ironicznie uściślił Werd w znanym przez wszystkich języku, ostentacyjnie puszczając mimo uszu pozostałą część frazy.

Razem z Lenem spojrzeliśmy na siebie i zrobiliśmy takie same sceptyczne grymasy. Naturalnie, nic dobrego z tego nie wyszło — przyjaciele, aż sami zaczęliśmy pokładać się ze śmiechu.

— Powiedzmy, że: przyjacielsko nastawiona narzeczona — wyciągnął wniosek Rolar.

— Jasne — Werd spowaźniał. — Miałem na myśli was wszystkich. Włączając w to... Arr'akktura.

Władca Dogewy uklonił się w milczeniu.

„Mógłby zabrać ze sobą Straż, jak i Lena, — zaniepokoiłam się w myśli. — A zabiera obcych, w dodatku śmiertelnego wroga. Dlaczego?!”

Ale protestować i wypytywać nie było czasu — Werd już wyszedł z domu. Pośpiesznie chwyciliśmy swoje manatki i pośpieszyliśmy za nim, przeżuając śniadanie w biegu.

Przy ganku, jak pies podkurczywszy tylne nogi, siedziała złoto-kasztanowa tcha'arsza, skrzyżowawszy nad krzyżem koniuszki złożonych po bokach skrzydeł. Rozczochrana grzywka — krótka jak u Smółki, ale nie sztywna, a jak gdyby z cienusieńkich, delikatnych piórek, bezustannie trzepoczących na ledwo wyczuwalnym wietrzyku — nadawała jej wąskiemu pyskowi nieco zakłopotany wygląd.

— To Djerri — wskazał brodą Werd. Konik ze zrozumieniem spojrział z ukosa na Władcę Lesku, a ten nie przykładając do tego wagi kontynuował, patrząc już na mnie:

— Siadaj!

— Co?! — My z tcha'arszą z wielkim sceptycyzmem obrzuciłyśmy się nawzajem spojrzeniami. Klaczka była może tylko ze trzy razy, większa od kozy, z takimi samymi bezczelnymi, skośnymi oczami i z przyzwyczajenia lekko podrygującym ogonem.

— Nie denerwuj się, nie rozgnieciesz — uśmiechnął się Werd.

— A czy ona zechce mnie wieźć?

— Tcha'arszy są zwierzętami stadnymi. Dla nich nie tyle ważny jest jeździec, ile przewodnik stada. Za moim ogierem ona poleci wszędzie, z każdym, kogo on tylko sobie zażyczy.

— Ale przynajmniej kierować nią będę w stanie?

— Dopóki ona widzi przewodnika — tak. Ale jeśli ona nie wybrała ciebie na swojego jeźdźca, to wyprowadzić jej z tabunu nie będziesz w stanie.

Chciałam zapytać, gdzie są pozostałe bieguny, to znaczy latuny, ale w tym momencie Werd cicho zagwizdał i w następnej chwili niemalże wprost mu na głowę zapikował śnieżnobiały koń, a za nim jeszcze cztery. Len złapał za uzdę najbliższego, jasno-siwego, pozostałym przypadły w udziale gniade o różnych odcieniach sierści.

— Odchylacie się w tył — tcha'arszy obniżają lot, pochylacie się do

przodu — wzbijają się w górę. Co robić z cugłami, sami wiecie — krótko poinstruował Werd.

W dotyku szkapina okazała się koścista, jak wysuszona płotka, a uwzględniając, w jakim miejscu ją dotykałam, przez resztę tygodnia czekało mnie chodzenie w rozkroku. Gibkości Smółki nie miała i chociaż chciwie oblizwała się na widok mojej kanapki, wyrywać mi jej z rąk nieoczekiwanym wypadem (czym dość często grzeszyła jej koleżanka) nie próbowała. Zlitowawszy się, oddałam jej resztkę kanapki i dobrze zrobiłam: opłaciło się, bo Werd już wskoczył na konia, który rozpostarł skrzydła w wysokim, zamaszystym skoku i nie dotknął już ziemi. Pozostałe tcha'arsze, nie namyślając się, zerwały się w ślad za nim — pod okrzyk kurczowo czepiającej się końskiej szyi Orsany i soczyste komentarze Wala, którzy w ostatniej chwili ledwo zdążyli dosiąść swoich zwierzaków — chociażby i tyłem na przód.

Nieźrównane doznania — gdy zrywami, w ślad za potężnymi machnięciami skrzydeł unosisz się w górę, a żołądek jak gdyby pozostaje w dole i doganiać cię jakoś się nie śpieszy.

— Patrz tylko do przodu lub w górę, dopóki się nie przyzwyczaisz! — Jasnosiwy ogier niemal dotknął mnie skrzydłem i ponownie szarpnął w bok. Sądząc po zielonkawej twarzy Lena, wiedzę tą posiadał metodą prób i błędów.

Tcha'arsze nabrały wysokości i rozpostarły skrzydła w strumieniu powietrza, pomagając mu rzadkimi, płynnymi machnięciami. Szarpnięcia ustały, ustąpiwszy miejsca równemu powiewowi uderzającemu w twarz i zatykającemu uszy wiatrowi. Z przyjemnym zdziwieniem zauważyłam, że siedzieć było teraz o wiele wygodniej — w locie ostre kanty końskiego grzbietu schowały się gdzieś do środka, między skrzydłami utworzyło się wygodne wgłębienie.

Troll w końcu obrócił się twarzą do przodu i z zemsty tak ścisnął niesforne bydlę kolanami, że te bez słowa sprzeciwu uznało ciężką nogę jeźdźca i przestało miotać się z boku na bok, mieszając szyk bojowy.

Równym klinem pomknęliśmy na zachód. Brzeg oddalał się z przerażającą szybkością, ale kiedy ostatecznie zniknął z pola widzenia, znosić prędkość było znacznie łatwiej. Wokół morze, bezkresne i odbijające blask słońca, sprawiające wrażenie jakby stało się w miejscu, chociaż robiło się po sto wiorst na godzinę. Prawda, kiedy wyprzedzaliśmy zdumione mewy, zrobiło mi się jakoś niedobrze, ale nowy sposób przemieszczania się zdecydowanie zaczął mi się podobać. Przystosowawszy się (przynajmniej, tak mi się wydało), wyprostowałam ramiona i dziarsko pociągnęłam za lejce z lewej strony. Djerri z ukosa zerknęła na mnie liliowym okiem: „No jeżeli ty rzeczywiście tego chcesz... ale potem nie mów, że cię nie uprzedzałam!” I tak stromo runęła w bok, że horyzont stał się

pionowy.

Wypadłszy ze stada, dziesięć sążni poniżej klacz wyrównała i dopiero wtedy skręciła w lewo. Ale mi już się wszystkiego odechciało — oprócz, co najwyżej, niedużego wiaderka. Z trudem stłumiwszy to niezbyt bohaterskie pragnienie, z jeszcze większą ostrożnością chwyciłam się za cugle. Klaczka posłusznie opadła nad samą wodę, potem (brakowało jeszcze, żeby z rozpędu wyrznąć w niewidzialny statek!) podniosła się na dawną wysokość.

Pozostałe tcha'arszy szybko zniknęły z oczu — moich, ale nie Djerri. Ona coraz częściej się odwracała, z niepokojem parskając, ale na razie słuchała się uzdy. Nie zatrzymałam się, aby pastwić się nad konikiem i wróciłam na dawny kurs, równoległy do pozostałych. Według moich pobieżnych obliczeń, granicę Lesku już przekroczyliśmy i chociaż na wypatrywanie statku było jeszcze za wcześnie, nie wytrzymałam, i zrobiłam parę zygzaków, bacznie przeczesując wzrokiem morze.

Z góry, jak jastrząb, spadł biały koń. Djerri z lękiem szarpnęła się w bok, ale natychmiast z ulgą zarżała i machnęła skrzydłami w miejscu, zawisnąwszy pysk w pysk z ogierem Władcy Lesku.

— Pani wiedźmo, prosiłem by pani nie doprowadzała do wycieńczenia konia przed czasem. — Werd naprężył nawinięte na pięść cugle. — Jeszcze nawet nie dolecieliśmy do tego miejsca, gdzie Straż zawróciła z powrotem.

Zmieszałam się, ale natychmiast tryumfalnie wyciągnęłam palec do przodu:

— A to co?!

Na horyzoncie jak raz pojawił się statek, trójmasztowy, handlowy żaglowiec. Prawda, płynął nie z Lesku, a po stycznej do niego, ku zachodniemu archipelagowi. Powiał wiatr — z lewej strony zawisł siwek, nieco wyżej — trójka gniadoszy. Werd, osłoniwszy dłonią oczy przed słońcem, usiłował dojrzeć moje znalezisko.

— Nie, to nie on, — rozczarował nas Władca Lesku. — Według opisu Straży, tamten miał czysto-białe żagle, a ten ma z niebieskim rysunkiem i inną figurę na dziobie — jednorożca zamiast lwa. Chociaż typ statku taki sam. Zresztą, poczekajcie tutaj, podlecę i spytam, czy nie spotkali naszego zbiega!

Biały ogier ostro zapikował w dół i do przodu. Troszkę go odprowadziliśmy i zawiśliśmy w powietrzu w odległości stu sążni od statku, z takiej wysokości, wydającego się zabawką. Tcha'arszy z nateżeniem pracowały skrzydłami, nie spuszczać oka z przewodnika i z niepokojem parskając. Mnie również coś się nie podobało. Do tego archipelagu, do archipelagu... ale skąd?! Z tej strony nie ma żadnych wysp, a przecież to nie rybacki ani wycieczkowy

statek!

— Werd, stój!

Nad statkiem z brzęczeniem i świstem wytrysnął szaroniebieski obłoczek strzał.

Zbyt późno sobie uświadomiliśmy, że zamaskować okręt jest jeszcze łatwiej, niż sprawić, aby był niewidzialnym.

W pośpiechu wyrzuciłam do przodu rękę. Strzały, jak gdyby natknąwszy się na niewidoczną ścianę na chwilę zawisły w powietrzu, potem zgodnie zawróciły się ostrzami w dół i pomknęły w stronę statku.

Oprócz jednej.

Śnieżnobiały wydał ostry pisk, prawe skrzydło buchnęło piórkami, złamało się i bezwładnie obwisło. Koń przekoziółkował w powietrzu, jak zraniony ptak, jeźdźca wyrwało z siodła — dokładniej, po prostu wyrwało — i rzuciło w bok.

Len, nie namyślając się długo, tak stromo posłał siwka w dół, że tcha'arszy złożył skrzydła i wszedł w korkociąg. Zdaje się, że strzelali z jednostrzałowych wojskowych kusz, a nie z łuków — zamiast drugiej salwy nastąpiły rzadkie, pojedyncze strzały. Szybciutko rozproszyliśmy się, chociaż takich niezdarnych strzelców świat nie widział.

Zresztą, oni i niezbyt się starali w kogoś trafić — szybciej, usiłowali trzymać nas na odległości, dopóki...

Statek jak gdyby zaczął wpływać w cień rzucany przez obłok — tylko nie blaknąc, a rozplywając się. Zostało z niego nie więcej niż jedna trzecia, kiedy się opamiętałam i z okrzykiem potrząsnąwszy cuglami, po stycznej skierowałam się ku szybko niknącemu pokładowi. Obok skroni przeleciała strzała, ale tylko machnęłam głową, jak gdyby odpędzając natrętną muchę. Mocniej ścisnąwszy kolanami boki konia, oswobodziłam ręce i bez większego mędrkowania strzeliłam w rufę dwoma oszczepami kłębiącego się płomienia.

Całe szczęście, że w pośpiechu wypuściłam zaklęcie o pół setki sążni wcześniej, niż należało. Nie, odbić go czarownik nie zdążył. Jego własne zaklęcie rozwijało się z taką mocą, że miejsca na jeszcze jedno w tym kawałeczku przestrzeni po prostu zabrakło. Moje czary dosłownie zgmiotło i wypluło z powrotem — już nie w charakterze ognia, lecz czystej mocy.

Scena z karczmy powtórzyła się, z jedyną tylko różnicą: nie było tu ścian.

Niebo i morze kilkakrotnie zamieniło swe położenie, a kiedy Djerri wreszcie wyrównała lot, w miejscu okrętu został tylko rozmyty ślad zaklęcia. Zaczęłam wściekle jęczeć z bezsilności. Magiczna rezerwa mocy opróżniła się więcej niż w połowie, a ten łajdak ani drgnął, pewnie nawet nie zauważył moich wysiłków!



„A jeśli wydałby ci pokwitowanie, że zauważył i ocenił, zrobiłoby ci się dzięki temu lżej?”— oderwałam się od własnych, złych myśli. Trzeba się zastanowić, co robić dalej, a nie opuszczać ręce po pierwszym niepowodzeniu! Nie miałam wątpliwości, że za jedną albo dwie wiorsty statek znów zmieni kierunek, żeby zbić nas z tropu. I najprawdopodobniej, stanie się na powrót widoczny, dlatego, że ukryć przed innym magiem, tak potężne zaklęcie jest jeszcze bardziej skomplikowane, niż ukryć statek. W tym miejscu jest zbyt wiele szczątkowej magii, przeszkadzającej się skoncentrować, jeśli jednak odlecieć trochę w bok, to ustalenie, dokąd się zmył, nie będzie stanowiło specjalnego wysiłku — to zupełnie to samo, co odszukać za zdeptaną polaną samotny łańcuszek śladów na śniegu. Niewidzialność to nie tarcza, a zresztą sama w zupełności mogę z niej skorzystać, runąwszy na koniu, wprost z jasnego nieba, bezpośrednio czarownikowi na głowę.

Nie tu a tam trzeba było! Djerri, nie zwracając uwagi na moje okrzyki i szarpnięcia cugli, pokręciła pyskiem tam i siam, i podjąwszy decyzję, miękko wylądowała lotem ślizgowym obok chwiejącej się na falach białej plamy. Rozpostarte skrzydła na razie utrzymywały ogiera na wodzie, ale pióra szybko namakały i się zlepiały. Gniadosze wydając ciągle okrzyki krążyły obok, tak jak mewy nad zniszczonym gniazdem, otwarcie ignorując jeźdźców. Dobrze chociaż, że zrzucić nie próbowały.

Jasno-siwy głośno trzepotał skrzydłami nad samą wodą, z jawnym wysiłkiem utrzymując podwójny ciężar.

— Nie było warto się fatygować — sucho powiedział Werd. — Doskonale pływam.

— Nie mam wątpliwości — spokojnie zapewnił Len, z ciekawością spoglądając w dół.

W tym miejscu, gdzie Władcy Lesku w najbardziej oburzający sposób przeszkadzono wziąć kąpiel, prześliznął się mroczny cień, rozmiarem przypominający pół okazałego żaglowca. Zakreślił szeroki krąg wokół zaczynającego desperacko się miotać konia, za drugim razem wynurzył z wody kawałek sierpowatej płetwy i po dwóch, trzech pulsarach, zrezygnowawszy z idei przekąszenia „czegoś” przed snem, majestatycznie uciekł na głębinę.

Widziałam, jak Werd ze zmieszaniem przygryzł wargę, ale odwracać się do Lena i czegokolwiek dodawać nie zaczął. Tonący koń wyciągnął głowę i żałośnie zarżał. Pozostałe natychmiast zareagowały, opuściwszy się jeszcze niżej.

— On szybko wróci. — Rolar z niepokojem kiwnął głową na purpurową plamę, rozlewającą się dookoła przebitego skrzydła — te stworzenia potrafią

wyczuć krew na kilka wiorst.

Siwek Lena również był w nienajlepszej formie, na naszych oczach bardzo szybko pokrywając się potem. Jakoś zdołałam podprowadzić Djerry bliżej.

— Przechodź do mnie!

Klaczka nie wpadła w zachwyty, ale potulnie pozwoliła Lenowi przeskoczyć sobie na grzbiet. Skrzydła zaczęły trzepotać dwa razy szybciej i głośniej. Położyłam dłoń na końskim kłębie, zaklęciem wlewając w nią siłę. Kasztanka z wdzięcznością prychnęła i zastrzygła uszami, ale o dalszej pogoni nie mogło być mowy. Po pierwsze, daleko tak mimo wszystko nie ulecimy, po drugie, bez przewodnika tcha'arszy nigdzie lecieć i nie zamierzały.

— Jak tylko... — Werd spojrzał na Albino i nie był w stanie skończyć frazy. — Tcha'arszy zawrócą do brzegu. Nie powstrzymamy ich.

— Można spróbować je zaczarować.

Pomysł nie podobał mi się za bardzo, tak, że zabrzmiał mało przekonująco. Zwyczajne konie nieźle poddawały się hipnozie, ale poruszały się potem jak ogłuszone, na sztywnych nogach i dwa razy szybciej się męczyły. Jak to zaklęcie podziała na tcha'arszy (i czy podziała w ogóle, nie można było przewidzieć). Natomiast dokładnie wiedziałam, że mimo magicznej pomocy, Djerry nie dociągnie do brzegu z takim ciężarem. I jeżeli w ciągu godziny nie odzyskamy okrętu... Za późno się spostrzegłam, że myślę praktycznie na głos, nie zatroszczywszy się o osłonę myśli. Jakaż ze mnie idiotka!!! Przecież teraz Len, ze swoją samobójczą szlachetnością, na pewno powie...

I oczywiście, powiedział:

— A ten tam się nie nada?

Wampir całkiem spokojnie wskazał palcem na czarną na tle słońca sylwetkę statku, płynącego wprost na nas. Gdybyśmy nie byli tak pochłonięci omawianiem naszych ponurych perspektyw, to zauważylibyśmy go już dawno. Chociaż, trzeba przyznać, płynął dość szybko, w jednej chwili zjawiwszy się przed nami w całej swej okazałości: drapieźnie zaostrzony dziób z podwodnym taranem, trzy maszty, wzdłuż burt — mocno wypchane worki do ochrony przed strzałami, po trzy balisty z każdej strony i rozdwojony, jak u żmii język, flaga z jednoznaczny rysunkiem. Słońce zostało nieco z boku, ale i tak go nie rozświetlało.

Statek zatrzymał się na jakieś dziesięć sążni od konia, który z przerażeniem zaczął machać zdrowym skrzydłem. Nie zwijając żagli, nie rzucając kotwicy, niemal natychmiast, jak karoza z ostro ściągającym, lejce stangretem.

— Podwieźć? — z dobrodusznym uśmiechem zapytał stojący na dziobie człowiek.

Podczas gdy próbowałam poradzić sobie z opadającą szczęką, Djerri bez wahania przyjęła zaproszenie. Niziutko, ostatkiem sił prześliznąwszy się nad burta, kasztanicha wbiła się pazurami w pokład i natychmiast usiadła, zwiesiwszy zmęczone skrzydła do samych desek.

Zeskoczyłam (dokładniej, rześko spelzłam) z klaczy, z nieprawdopodobną ulgą poczuwszy pod nogami twardą powierzchnię.

— Co pan tu robi, Profesorze?!

Arcymag z zadowoleniem pogładził brodę:

— No, mógłbym powiedzieć, że morskie powietrze dobrze robi moim starym kościom, ale ty i wcześniej odnosiłaś się do podobnych oświadczeń bardzo sceptycznie, Najwyższa Wiedźmo Dogewy.

Zza jego pleców wyłoniła się wysoka kobieta, w ciemnym, obcisłym stroju, obwieszona amuletami, z wystającą posrebrzaną rękojeścią miecza nad prawym ramieniem. Biały ślad po oparzeniu przerywał krótko, na języka, ostrzyżone włosy — nieco powyżej lewego ucha, na szerokość dobrych trzech palców. Zorientowałam się, że po raz pierwszy widzę ją bez peruki. I całkiem nawet ona nie...

— Witam Was, koleżanko — chłodno powiedziała Łysa Ban... Katissa.

Cofając się przed niespodzianką, natknęłam się na Lena. Wampir uspokajająco przyciągnął mnie do siebie za ramiona.

— Tak więc Konwent posłał was obydwójce w pogoń za nami?!

— Nie za wami — beznamiętnie zaoponowała magiczka. I prześliznąwszy się wzrokiem nad morzem skinęła głową w stronę, gdzie zniknął żaglowiec: — Za nimi.

— Ale skąd...

Profesor uniósł rękę, wzywając nas, abyśmy nieco wstrzymali się z pytaniami, i podszedł do burty. Żeby, za pomocą lewitacji przetransportować konia na statek, dyrektorowi Szkoły Czarodziejów było potrzeba, co najwyżej kilka minut. Z boku mogło się wydawać, że on w ogóle nie czaruje, a w zamyśleniu obserwuje ogiera, ze zdumieniem przebierającego nogami w powietrzu. Jak tylko ten szczęśliwie wylądował na pokładzie, Profesor z taką samą spokojną troską obrócił się w stronę żagli, a one posłusznie napełniły się wiatrem.

Arcymag pozwolił sobie aprobowo chrząknąć i dopiero wtedy uznał potrzebę podjęcia rozmowy:

— Tak się złożyło, że przez ostatnie kilka tygodni Konwent bezskutecznie poszukuje zbrodniarza, który zabił i okaleczył kilkudziesięciu naszych współbraci. A sądząc z pogłosek, — arcymag tak przenikliwie na mnie spojrzał,

że się zarumieniłam i spuściłam wzrok, nawet jeszcze nie wiedząc, o co chodzi, — niejaka ruda wiedźma, jakimś sposobem (jeszcze jedno spojrzenie — i jasnowłosa „sposób” ze zmieszaniem zakaszłał nad moim ramieniem) dowiedziała się, gdzie on się ukrywa i w dodatku ubzdurzyła sobie, że zdoła rozprawić się z nim w pojedynkę. Oczywiście, bardzo to chwalebny, ale niezbyt rozsądny zamiar: przecież, wystarczyło jej zaledwie wysłać do Starminu krótką wiadomość — i na jej usługi byłaby moc całego Konwentu. A tak wypada jej liczyć tylko na pomoc jednego, starego maga, który, gdyby nie jeszcze jedna jego koleżanka, tak by i nie dowiedział się, gdzie szukać swojej lekkomyślnej uczennicy...

Nieoczekiwanie dla siebie samej pociągnęłam nosem, zrobiłam krok do przodu i wtuliłam się magowi w pierś, a on z czułym wyrzutem pogłaskał mnie po głowie, jak małą dziewczynkę, ryczącą pod bramą Szkoły. I jak gdyby nigdy nic, spokojnym, nieco gderliwym głosem kontynuował:

— Dowiedziawszy się, że opuściliście port, rozesłaliśmy zwiastuny wiadomości do najlepszych belorskich magów-praktyków, ale nie czekaliśmy na nich. Niestety, nie udało nam się znaleźć płynącego do Lesku statku, tak, że w końcu musieliśmy przekupić rybacką łódź z żaglem i po kolei wspomagać ją zaklęciami, póki oto ci mili ludzie łaskawie nie zgodzili się nas podwieźć.

Mili (jak mimo wszystko złudny bywa wygląd!) ludzie w wymuszony sposób zaczęli się uśmiechać. Fircykowaty typ z elfimi liniami twarzy i trolim nosem nieśmiało spróbował przedstawić koniuszkami palców coś na kształt powitalnego gestu.

Albino niezgrabnie, za drugim podejściem, podniósł się na nogi i otrząsnął, opryskawszy nas bryzgami wody. Pozostałe tcha'arszy, czy to znowu podporządkowały się jeźdźcom, czy też za obopólną zgodą, jeden za drugim opuściły się na pokład. Tylko narowista gniadoszka Wala, z tylko jej znanej głupoty usadowiła się na górnej poprzeczce centralnego masztu, stanowczo odmawiając ruszenia się z miejsca, tak, że najemnikowi wypadło złazić stamtąd na własnych nogach. Zresztą, wystarczyło żeby troll stanął na pokładzie, gdy klacz wyprostowała skrzydła i zleciała na dół, z jawną złościwością szczerząc zęby.

— Ale skąd w takim razie wiecie o innym statku? — wreszcie wzięłam się w garść i odsunęłam się od Profesora, podejrzliwie przyglądając się Katissie. — Naczelnik portu nic nie wiedział o czarowniku, wygląda na to, że płynęliście do Lesku właśnie za nami!

— Owszem, ale potem zlokalizowaliśmy potężne magiczne pluśnięcie i zacząwszy podejrzewać coś niedobrego, trochę zmieniliśmy kurs. Rozpoznać

zakłęcie maskowania, to nic skomplikowanego, a co można chcieć ukryć pośrodku morza? Tylko statek. Wątpię, aby przemytników było stać na taki trik, a ich etatowego maga — na taką siłę. Ale chowającego się przed rozgniewanymi wampirami czarownika, obdarzonego nadzwyczajną mocą — na pewno.

— Logiczne — zostałam zmuszona przyznać im rację, chociaż małe ziarenko wątpliwości mimo wszystko zostało. Zbyt gładko przedstawił to wszystko arcymag. Jak gdyby zawczasu przeprowadzał próbę.

Profesor z godnością skinął głową, jak gdyby uzyskał ode mnie najwyższe pozwolenie na dalsze działania i odwrócił się w stronę Władcy Lesku:

— Mam nadzieję, że dostojny Sia-Werden tor Ordl... I'ael — arcymag zająknął się, a ja szczerze okazałam mu współczucie. Na oficjalnych przyjęciach w Dogewie, ja także dotychczas czytałam pełne rodowe imię Lena z karteczki, pewnego razu po kryjomu przypiąwszy ją Władcy na plecach między skrzydłami, a potem o niej zapomniawszy... Wyszło to na jaw dopiero na koniec dnia — goście przez grzeczność milczeli albo i korzystali po kryjomu — nie ma nic przeciwko niewielkiej morskiej przejażdżce, zanim odwieziemy go do Lesku?

Werd już stał koło swojego ogiera i objąwszy go za szyję, gładził po mokrej grzywie, coś po cichutku do niego mówiąc. Koń podobnie, zdławionym głosem, poparskiwał, jak gdyby odpowiadając.

— Nie mam nic przeciwko — nie odwracając się, odpowiedział Władca Lesku. — Nawet wręcz przeciwnie. Dogońcie tylko tego łajdaka...

— Dogonimy — spokojnie zapewnił Profesor, ponownie kierując wzrok w stronę żagli.

Tak naprawdę można było się o to nie martwić. Magia magią, ale każdy statek ma swoje granice prędkości i wytrzymałości, po przekroczeniu, których żagle zerwą się razem z masztami, a kadłub ulegnie zgnieceniu, jak skorupka jajka. „Łapownik” jakby został stworzony do wyścigów i chętnie to zademonstrował. Wąski i lekki, jak gdyby frunął nad falami, zarażając nas swoim entuzjazmem. Czarna flaga z czaszką i kośćmi, powiewająca na szczycie masztu prezentowała się bardziej niż właściwie. Ech bogowie, sama bym i nie odmówiła posiedzieć na bukszprycie<sup>11</sup>, z krzykiem wymachując zardzewiałą, abordażową szablą!

— Na pewno, ani jeden statek wam nie uciekł? — z mimowolnym

---

<sup>11</sup> **Bukszpryt** (dziobak) – drzewce wystające do przodu z dziobu jednostki pływającej o napędzie żaglowym, wyjątkowo na innych jednostkach (na przykład na pancerniku Potiomkin). Położony jest niemal poziomo, lub lekko wznosząco, najczęściej w linii wzniosu pokładu. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Bukszpryt>

zachwytem zapytałam kapitana.

— No jak wam tu odpowiedzieć... — oblał się pąsem, zadowolony pirat. — Dośćgnąć tak naprawdę, to nikt nie był w stanie...

Djerri niespodziewanie trąciła mnie pyskiem w plecy. Zreflektowawszy się, podeszłam do białego konia i uważnie zbadawszy postrzelone skrzydło, wzięłam się do leczenia. Len perfidnie wykorzystał tę chwilę, żeby na stronie porozmawiać z Profesorem i Katissą. Niestety, przerwać pracy w połowie nie mogłam, tak, że pozostało mi tylko z niezadowoleniem, krzywo na nich spoglądać przez ramię. Werd asystował mi w milczeniu, żelaznym uściskiem podtrzymując skrzydło w wyprostowanej pozycji, dopóki nie wyciągnęłam odłamującej się nasadki, nie zatamowałam krwi i nie złączyłam brzegów rany. Koń cierpiał potulnie, tylko z rzadka potrząsając głową, albo wierzgając.

Zanim uporaliśmy się z latunem, magowie i Władca rozmówili się i z niewinnym wyrazem twarzy rozeszli się w różne strony, jawnie nie zamierzając mi o niczym meldować. Przyjaciele, żeby osłodzić przygnębiające oczekiwanie, także rozeszli się po statku — Rolar i Orsana z płonącym wzrokiem oglądali okrętową balistę, przerzucając się krótkimi, pełnymi zachwytu replikami, Wal coś żywo tłumaczył kapitanowi, a ten z zainteresowaniem słuchał.

Zastanowiłam się, trochę po ociągałam i odważywszy się jednak podeszłam ku „koledze”, samotnie opierającej się łokciami o poręcz lewej burty.

— E-e-e... pani Łabska?

— Tak? — Katissa, powoli z całym należnym jej pozycji majestatem, ale tym nie mniej niebezpiecznej harpii obróciła się w moją stronę.

Instynktownie się cofnęłam, jednak znalazłam w sobie siły, żeby zadać następujące pytanie:

— Po co pani przyjechała do fortu?

Mistrzynie trochę przewierciła mnie swoim słynnym spojrzeniem, ale mimo wszystko raczyła odpowiedzieć:

— Jeden z urzędujących tam magów-praktyków podejrzewał, że ktoś zdołał teleportować się między „pajęczynkami”, nie wiadomo w jaki sposób dowiedziawszy się o ich rozmieszczaniu. Konwent skierował mnie do fortu żebym to sprawdziła, a w razie konieczności — i udzieliła bojowej pomocy.

— A o czym było w liście do komendanta?

— Rozkaz zatrzymania mordercy i jego towarzyszy podróży. I zalecenie wedle możliwości skonsultowania się... z kolegą. Stołów tu nie ma, możecie się nie rozglądać. I obrusów także.

Poczułam, jak mimo chłodnego wiatru, zaczynają mnie zdradziecko palić policzki.

— Coś jeszcze, pani Wyjątkowa? — sarkastycznie zapytała kobieta.

— A gdzie pani... no... — niemądrze palnęłam, wytrzeszczając oczy na jej głowę.

— Zdmuchnęło — z nieprzeniknionym obliczem odpowiedziała Katissa. — Zapomniałam rano podkleić.

Magiczka spojrzała na moją zaskoczoną twarz i niespodziewanie prychnąwszy śmiechem, pokręciła głową i przeszła na dziób statku, stanąwszy obok Profesora.

Zresztą, widniejąca na horyzoncie biała plamka była doskonale widoczna i stąd; tak jak i przewidywałam, po godzinie „Czarny Lis” przestał się ukrywać pod zaklęciem.

Zamieniwszy ze sobą parę słów, magowie cofnęli się od burty, odwrócili się twarzami do siebie nawzajem i wyciągnęli do przodu ręce. Pozostali z zainteresowaniem podeszli bliżej. Między suchymi, zgrubiałymi i eleganckimi, ze zrobionym manikiurem paznokciami, ale tak samo profesjonalnie wrażliwymi palcami gęstniała, formowała się, mieniąca się wszystkimi kolorami tęczy sfera. W jednej chwili rozpoznałam zaklęcie przybliżenia. Prościej byłoby oczywiście wziąć lunetę, ale za pomocą czarów można nie tylko obejrzeć nieprzyjacielski pokład, ale też i zajrzeć do ładowni, a jeśli zaklęcie było wykonane przez takich potężnych magów — przeliczyć wszystkie okrętowe szczury.

Przełamany przez sferę punkt statku skoczył do przodu na takie zbliżenie, że zaczął być widoczny brud na deskach pokładu. Profesor zasepił się, korygując obraz. Po wypukłym boku sfery przesunął się brzeg żagla, następnie pulchny biust figury na dziobie. Nie jednorożec i nie lew — a obnażona kobieta z rozwianymi lokami i przechodzącymi w ogon-falę nogami.

— „Wileja” — bez wahania rozpoznała Katissa. — Już od roku, uważana jest za zatopioną przez piratów.

— Nieprawda — zaprzeczył kapitan, ale tak na niego spojrzano, że uznał za rozsądne, szybko wrócić na mostek.

— A co z „Czarnym Lisem”? — zdumiał się Rolar. — Następna mistyfikacja? Kierownik portu miał u siebie zaprowadzony na ten statek osobny rejestr!

— Mistyfikacja? — Mistrz sceptycznie pokręcił głową. — Nie, chyba nie. Portowy mag natychmiast by zauważył. Widocznie, z Belorii odpłynęli na prawdziwym handlowym statku, a w drodze przesiedli się na czekającą na nich na otwartym morzu „Wileję” — bo oczywistym jest, że ona nie mogła pokazać się przy brzegu. Sądzę, że „Czarnego Lisa” już naprawdę nikt nie znajdzie...

— Aha — z zadowoleniem zauważył arcymag, przyciągając powszechną uwagę. Obraz, zachwiałszy się, zassał się do środka sfery i stał się płaskim i doskonale wyraźnym.

— Tak ja i myślałem — jednomyślnie, ale z różną intonacją wypuścili powietrze z płuc Władcy. Len — z kiepsko skrywanym triumfem, Werd — jak gdyby to, co zobaczył, trafiło go w samo serce, dotkliwiej niż rytualne ostrze.

Na pokładzie „Wilei”, jedną ręką przytrzymując się za mocno napiętą linę i bacznie wpatrując się w dal, stał czarownik. A obok niego, skrzyżowawszy ręce na piersi, jak gdyby nie zwracając uwagi na kołysanie — stał jasnowłosy mężczyzna w zwyczajnym, szarym ubraniu. Z krótką, modną fryzurą, dość przystojny, ale w porównaniu z nim nawet Lereena wyglądała na bardziej uczynną, a Werd — na dobrodusznego. Zresztą, pewnym kobietom podoba się właśnie taki typ mężczyzn — czarujących łotrów, takich z cicha pęków<sup>12</sup>.

Czarownik zmrużył oczy i poruszył wargami. Jego towarzysz tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Paskudnie i z pogardą, na chwilę błysnąwszy kłami.

Stanowczo szarpnęłam obydwu Władców za rękawy:

— Znacie go?

— Osobiście — nie trafiło się — przyznał się Len. — Ale domyślam się, z kim mamy do czynienia.

A Werd...

— Po wojnie zostało nas troje, — powoli powiedział, jakby z bólem wylewając z siebie nawarstwiony, ohydny brud, ukrywać którego nie był już w stanie. — Danira, Krostien i ja: Władczyni Doliny i dwaj jej najbardziej zaufani doradcy. Byliśmy obecni na wszystkich obrzędach w świątyni... ale na jeden mogłem przyjść. I dla Daniry on okazał się ostatnim. Doświadczona, wiele razy zamykająca Krąg Władczyni, z jakiegoś powodu nie zdążyła wyciągnąć sztyletu, a jej Opiekun miesiąc wcześniej zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Na następnego Władcę Lesku wybrano mnie. Praktycznie jednogłośnie, na walnym zgromadzeniu mieszkańców doliny. Krostien aż się skrzywił, w milczeniu odwrócił się i odszedł z placu. Wówczas to i miałem wątpliwości... nie, nic mówić nie zaczął, tak i nic nie udowodnisz... ale widocznie, sam się zorientował, że dawnego zaufania do niego nie będzie i zaraz odpłynął z wyspy pierwszym statkiem.

— Tak oto skąd miał klanowe pieczęcie — mruknął Len. — Twoją skopiował, a o mojej doskonale się nasłuchał... a i przedostać się do pokoju

---

<sup>12</sup> powiedzenie z *cicha pęk* odnosi się tylko do człowieka sprytnego, przebiegłego, który – na pozór cichy – ujawnia złe zamiary.— *Krystyna Długosz-Kurczabowa, Uniwersytet Warszawski*



Władcy nie nastęrczało mu żadnych problemów.

— Jak i przysłać do nas Strażnika — dodał Rolar. — Cóż, teraz wszystko ostatecznie znalazło się na swoim miejscu! On...

Czarownik niespodziewanie zmienił kąć patrzenia, skierowawszy wzrok jak gdyby prosto w moje oczy. I bez tego, na jego niezbyt przyjemnej twarzy pojawił się złośliwy grymas. Nagły zamach ręki — i w jednej chwili sfera pękła jak bańka mydlana. Instynktownie się uchyliliśmy, chociaż nic nie poculiśmy, a lekki zapach ozonu natychmiast uniósł wiatr.

— Silny, zaraza! — wyrwało się Katissie. Magiczka potarła czoło grzbietem dłoni i z niepokojem spojrzała na arcymaga. Ten niewyraźnie pokiwał głową. Zlokalizowanie i przerwanie zaklęcia podglądania, w gruncie rzeczy, nie jest takie znowu skomplikowanie — pod warunkiem, że przeciwstawia ci się mag stojący o poziom niżej od ciebie. Ale położyć na łopatkę arcymaga w parze z Magistrem pierwszego stopnia byłby w stanie chyba, że... byłaby w stanie kiedyś...

— Dość tego, wystarczy! — uniosłam się, nie wytrzymawszy tak jawnie unoszących się w powietrzu niedomówień. — Niech ktoś wytłumaczy mi sensownie, dlaczego mam takie uczucie, że dookoła mnie już od miesiąca kręci się jakaś niezrozumiała historia, zabijcie mnie, ale nie rozumiem, jaką rolę w niej odgrywam?!

Arcymag westchnął i spojrzał z ukosa na Lena. Ten skinął na znak zgody: niby, że dłużej się tego już nie da odkładać.

— Mylisz się tylko w jednym, Wolha. Ta historia ciągnie się już kilka lat, od twojego pierwszego przyjazdu do Dogewy... a jeśli być już całkiem dokładnym — zaczęła się kilka miesięcy przed nim. Ale ty masz rację: przyszedł czas poustawiać wszystkie kreski w runach...

— W takim razie powinnam lepiej usiąść — przerwałam i przytrzymując się masztu, ostrożnie opadłam na pokład.

— Oczywiście — potwierdził nieco zbity z pantałyku Profesor. — Podobne nowiny, w rzeczy samej lepiej wysłuchiwać na siedząco, w przeciwnym razie...

— Nie, po prostu noga zaczęła mi doskwierać, a zamierzam nie tylko wyjaśnić wszystko do końca, ale też urządzać komuś głośną i ohydą awanturę. Trzeba oszczędzać siły.

— Ty przecież jeszcze nie wiesz, o czym będzie mowa! — oburzył się Len.

— Za to dobrze cię znam. — mrugnęłam porozumiewawczo do uśmiechającego się mimo woli Rolara. — A więc, uważnie was wszystkich słucham! Cóż takiego szczególnego wydarzyło się trzy lata temu?

— Napad na ludzi w okolicach Dogewy. A potem i w samej dolinie. Przypominasz sobie?

Prychnęłam z sarkazmem. Czegoś takiego choćbyś chciał — nie zapomnisz!

— Ale przecież wyjaśniliśmy, że wampiry nie mają z tym nic wspólnego! W Dogewie rozrabiał udający kudłaka mag, a w miastach — jego najemnicy, umyślnie podszywający się pod wampiry!

Zmartwiony Arcymag zacisnął usta:

— Niestety, wszystko nie jest takie proste. Rzecz w tym, że „pod wampiry” podszywały się... wampiry. Osobiście zbadałem kilka trupów i uwierz mi — potrafię odróżnić ukąszenie od dwóch przebitych przez szydło dziurek. I to zaniepokoiło nas najbardziej. Tak, Arr’akktur mógł poręczyć za każdego ze swoich poddanych... ale przestępcy trafiają się nie tylko wśród ludzi.

— I tylko — z goryczą dodał Len, — na ogół nikomu nie przyjdzie do głowy oskarżyć o krwiożerczość ludzkość. Chociaż pijemy krew tylko w ostateczności i odczuwamy z tego nie większą przyjemność, niż wy.

— Zabójcy istotnie kęsali ofiary tylko dla pozoru, już po śmierci. Krew ich nie interesowała — potwierdził Profesor.

Winnesjanka mściwie zmrużyła oczy: zdaje się, że Rolar stracił najlepszy temat do żartów, a Orsana go zdobyła.

— Ale dlaczego oczerniali samych siebie, nawet za pieniądze? — nie mogłam uwierzyć.

Wal na znak zgody splunął z pogardą. Może kodeks najemników i składał się co najwyżej z dziesięciu punktów, za to przestrzegali go ściśle.

— A jeżeli obiecano im coś innego? — naprowadzał mnie ku właściwej myśli Profesor. — Co jest najbardziej cenne, ale nie jest na sprzedaż i nie można tego kupić? Co odpowiemy... życie? Przecież ani Arr’akktur, ani Lereena nie zaczęliby zamykać Kręgu dla wypędzonych z dolin przestępców.

— Ten potwór chciał zdobyć Wiedźmi Krąg! — przypomniałam sobie. — Kiedy walczyliśmy przy fontannie, mówił o jakiejś ukrytej w nim potędze...

— Na początku też tak myśleliśmy, — delikatnie, ale uparcie przerwał mi Profesor. — ale Kręgow, w gruncie rzeczy jest dużo w całej Belorii, a „zamykać” je mogą tylko wampiry i tylko dla wampirów. Człowiek może wykorzystać Krąg tylko po to, żeby zaczerpnąć z niego magiczną siłę, albo wezwać jakieś stworzenie. Ale w do tego celu, znacznie prościej jest wykraść niezbędny do tego obrzędu zestaw kamieni z królewskiego skarbcza i osiedlić się gdzieś w lesie albo górach. Dlaczego właśnie Dogewa?

— Tak więc... może, potrzebny mu był konkretny Krąg? One przecież

działają w różny sposób.

— Przypuścimy. Właściwie, to i my tak założyliśmy, nie na długo jednak rozwialiśmy wątpliwości. Do corocznego starminskiego turnieju łuczniczego.

— Obląkany nekromanta, pragnący się odmłodzić... — do reszty się pogubiłam. Co on tu ma do rzeczy?! — Ale przecież on potrzebował od Lena tylko jednego! W sensie, składania ofiary!

— On — tak. Ale kto mógł wiedzieć i podpowiedzieć magowi, że turkus z królewskiego skarbcza okaże się trzynastym kamieniem dogewskiego Kręgu? Znowu — tylko wampir. Więc zaczęliśmy podejrzewać, że w tej historii jest podwójne dno. Ktoś, uparcie pozostając w cieniu, usiłował pozbyć się Arr'akktura... dokładniej, Władcy Dogewy. Dlaczego?

Najbardziej nasuwająca się odpowiedź — to, taka żeby potem zająć jego miejsce. Innych kandydatów brak. A więc, nasz tajemniczy łotr wymyślił sobie plan zagarnięcia Dogewy przez pośrednika... którego potem można się pozbyć, a w razie niepowodzenia zwalić wszystko na niego.

— Pitrima?

— Najszybciej, chociaż to nie zostało udowodnione — westchnął Profesor. — Niezrozumiałym jest, jak potrafili się dogadać, przecież były dyrektor Szkoły nie mógł ścierpieć wampirów... za to pasjonował się nekromancją. Zwłaszcza jej zakazanymi działami. Być może, obiecano mu schronienie i szerokie pole do eksperymentów. A może — banalne złoto. Ale w sumie Arr'akktur zaczął dostawać telepocztą wiadomości z groźbami, w których nieznany typ żądał od niego oraz jego poddanych wyniesienia się z Dogewy.

— Ale na co mu pusta dolina? — zdumiałam się. — Kim by tam kierował? Swoimi dziesięcioma pomagierami, udającymi fałszywą przyjaźń?

— Oczywiście, że nie. Najprawdopodobniej nie zamierzał nawet ogłaszać się Władcą Dogewy. To powinni byli zrobić jej mieszkańcy. Oficjalne i dobrowolnie.

— Oni by tego nie zrobili! — oburzyłam się.

— Tak? — niewesoło uśmiechnął się arcymag. — Przez parę tygodni rządziłby Dogewą wariat, według powszechnej opinii — mag, a potem... Jak myślisz, komu podporządkowałyby się wampiry: powracającemu do ojczystej doliny tchórzliwemu chłopakowi, który oddał ją bez walki, czy bohaterowi, który nie uląkł się wyzwania na pojedynek złego czarownika, żeby zwrócić im Dogewę? A gdyby Arr'akktur zginął na skutek „nieszczęśliwego wypadku”, wszystko byłoby jeszcze prostsze — wampiry zgodziłyby się na wszystko, aby tylko w dolinie znowu pojawił się Władca. Jakikolwiek. Z kolei łotr, aby to osiągnąć, gotowy był na wszystko. W następnym etapie swego planu istotną rolę

wyzaczył dla Mael-ine-Kirren, ostoi belorskiego rycerstwa. Zakon Świętego Fendiulija, pod kierownictwem nowego przywódcy, miał ogłosić świętą wyprawę przeciwko „bogom ohydnyim potomkom mrakobiesa” — świątynia w ogóle z dezaprobatą traktuje wampiry, z powodu ich dwupostaciowości. Jeśli się nie mylę, w proroczych zwitkach jest nawet odrębna przypowieść o mrakobiesie, który przybrał postać wilka... Czy to pogryzł on tam kogoś ze świętych, czy też skusił — nie pamiętam dokładnie, a zresztą, nie w tym rzecz. Przede wszystkim, chodzi o to, że znowu się wtrąciłaś, świetnie wykrywając spisek.

— Pan i o tym wie? — zdziwiłam się.

— Razem z Najwyższym Mistrzem jesteśmy starymi przyjaciółmi — uśmiechnął się arcymag. — Właściwie to... poradziłem mu, żeby się do ciebie zwrócił.

— Znaczy, czarownik z Kruczyc Szponów to kolejny pionek tego... Krostiena, tak?

— Krostien tor Ordnasht Peh'hov — odruchowo poprawił Werd.

Profesor skrzywił się.

— Gorzej. On jest jego...

— Opiekunem — dokończył Len. — Obaj z Rolarem zrozumieliśmy to jeszcze w opadiszczyńskiej karczmie.

Reszty doskonale domyśliłam się sama. Oto powód, dlaczego był taki kiepski, a jednocześnie tak potężnie czarował! Najbardziej skomplikowane w czarowaniu jest poprawne splecenie zaklęcia, a dopiero potem na usługi maga jest cała siła krwi Władcy, płynącej w jego żyłach.

— Ale on przecież jest człowiekiem!

— Półkrwi — poprawił Rolar. — Bez kłów i skrzydeł, co wcale mu nie przeszkodziło pomyślnie przejść transformację w Opiekuna.

— I wyciągać bełty z kuszy jak zwykle drzazgi — przypomniałam sobie ze złością. — Ale dlaczego zatem nie stał mnie na prosek jeszcze w zamku? Mając takie możliwości?

— Ponieważ... — wampir zająknął się, postanowiwszy wytłumaczyć to bardziej namacalnie. — Wolha, a kiedy sama byłaś Opiekunką, czy naprawdę nie zauważałaś, jak przy Władcy wzmagają się twoje magiczne zdolności?

Uczciwie mówiąc, ja tego całego cholerstwa w zasadzie to nie zauważyłam. Ale myślę, że na awanturę Len już zasłużył!

— Na zamek Krostien wepchnąć się nie odważył — kontynuował Rolar, błędnie biorąc wyraz zamyślanej wściekłości na mojej twarzy, za efekt zrozumienia sytuacji. — Ale kiedy trzeba było telepatycznie zaatakować

Dogewę, pojawił się jak na zawołanie! W pojedynkę, czarownik nawet będąc Opiekunem, nie zdołałby tak mocno rozwinąć swoich możliwości.

— Wychodzi na to, że pozostali telepaci po prostu trafili na zły humor i nawinęli się pod zbyt zamaszystą rękę?

— Nie, w tym wypadku czarownik akurat bardzo dokładnie wszystko wykalkulował. — zaoponował Profesor. — Wyobraź sobie jedną wylatującą z lasu strzałę, a potem i ich bezgraniczny grad. Byliśmy w stanie ustalić tylko kierunek zaklęcia, ale nie dokładne źródło jego pochodzenia.

Do „Wilei” zostało nie więcej niż trzysta sążni. Przy burcie już nikogo nie było. To dziwne, że oni nie próbują znowu czarować... dziwne i bardzo podejrzane.

— Ale co szkodziło Krostienowi po prostu wyzwać Lena na pojedynek? Na co mu były potrzebne te wszystkie bzdury z magiem, Opiekunem i Leskiem?!

— To wszystko nie jest znów takie proste. Oprócz okazania głowy poprzedniego Władcy, Krostienowi niezbędne byłoby zapewnienie sobie poparcia Rady Starszych i Najwyższej Zielarki Dogewy. Potrafisz sobie wyobrazić, aby Kella głosowała za zabójcą Lena? I do tego jeszcze takiego bezczelnego i bezlitosnego?! I nawet jeśli Rada z ciężkim sercem, dla dobra doliny, wybrałaby to „dobro”, to jeszcze nie wiadomo, w jaki sposób przyjąłaby jego „wyświadczone dobrodziejstwo” sama dolina. Arr’akktur, choć broni się przed tym faktem rękami i nogami, jest wspaniałym Władcą i innego Dogewie nie trzeba.

Len z ironicznym uśmiechem pokiwał głową, ale było widać, że to mu schlebia.

— A Arliss? — bez żadnej ukrytej intencji uściśliłam. — Tam również Lereena jako Władczyni jest sama sobie panią, szczególnie po zeszłorocznej lekcji i również nie ma następcy.

Rolar nawet nie pomyślał się obrażać:

— Nasza dolina położona jest na granicy Belorii i Jesionowego Grodu, pośród jezior i głuchych lasów. Ludzi tam jest mało, a elfy i rusalki są w stosunku do wampirów bardzo lojalne i sprowokować ich praktycznie się nie da. Nie mówiąc już o tym, że Lereena za nic nie pomknie z gwordem za złoczyńcą, aby go obedrzeć ze skóry. A zresztą, w ogóle bez potrzeby nie wychyli nosa z doliny. Nie, z Arlissem by mu na pewno nie wypaliło. Chociaż... a nie, z łożniakami nawet Krostien nie ośmieliłby się związać.

— A więc tego się obawialiście, kiedy byłam Opiekunką? — pomilczawszy chwilę, głucho zapytałam. — Wśród wampirów nie zdarzają się

magowie, a ludzie-magowie są ograniczeni przez rezerwę i przywiązani do źródeł mocy. Ale jeśli by talent połączyć z możliwościami...

— Obawialiśmy się — spokojnie przyznał mi rację arcymag. — Ale o ciebie. Dlatego, że tobie nie przyszłoby do głowy wykorzystać tej mocy w służbie zła i złu to by się bardzo nie spodobało. A oprócz magii jest i sztylet i trucizna...

— I najemnicy — mruknęłam, przypomniawszy sobie, w jaki sposób zginęła dynia, choć w niczym nie zawiniła. — Wygląda na to, że i mój naturalny wygląd mu się nie spodobał.

— A cóż chciałaś, foczka? — zaśmiał się troll. — Jeślibyś tak, bez żadnej ukrytej intencji, przypadkowo choć przez chwilę poczytała mu w myślach, to znalazłabyś tyle nikczemnych planów usunięcia cię z tego świata, że to się nie mieści w głowie — ale żeby tego dokonać, trzeba się bardzo postarać! A kiedy zaręczyłaś się wampirem, pewnie doszedł do wniosku, że go prześladujesz! Więc zdecydował się ciebie trzasnąć, żeby nie kusić losu...

— Jakoś późno się zdecydował — zawarczałam. — Mógłby od razu po Kruczych Szponach się za mnie wziąć!

Wtedy jego śladem nie szedł jeszcze Konwent, z którym wcale nie chciał nawiązywać bliższych stosunków, zanim nie stałby się Opiekunem z pełną przynależną mu mocą. — Ostry głos Katissy sprawił, że bezwiednie drgnęłam. Profesor, ze swojej strony, wieloznacznie dodał:

— Do tego wydarzyło się coś jeszcze, co spowodowało, że musiał przyspieszyć bieg wydarzeń.

— Czyli? — Moja głowa okazała się tak zapchana informacjami, że zabrakło w niej miejsca na moje własne domysły.

— Wasz ślub, Wolha. A raczej jego, zgodny z prawami natury, wynik — taktownie napomknął arcymag.

— W sensie? — dalej nie mogłam pojąć. Tak samo, jak nie mogłam zrozumieć, dlaczego wszyscy pozostali zachichotali, a Len ze zmieszaniem spuścił wzrok.

Profesor zakaszłał i już bez ogródek wyjaśnił:

— Spadkobierca.

Dobrze zrobiłam, że wcześniej usiadłam.

— Co?!

Arcymag, mimo napięcia chwili, z całej siły starał się ukryć uśmiech:

— Jeśli się nie mylę, Najwyższa Zielarka Dogewy odniosła się do waszego jesiennego ślubu bardzo odpowiedzialnie. Wszyscy, jako-tako znajomi ludzie i nieludzie otrzymali zaproszenia, a zawiadomienia o ślubie rozlepione zostały

prawie po wszystkich słupach, włączając w to haniebny<sup>13</sup> słup na głównym starmińskim placu...

Oboje z Lenem jednocześnie złapaliśmy się za głowy i zaczęliśmy jęczeć. Wygląda na to, że Kella wykazała zdecydowanie nadmierną inicjatywę!

— Rozumie się, że podobne wydarzenie nie mogło umknąć uwadze łotra — tymczasem kontynuował Profesor. — Zrozumiał, że kolejny rok wyczekiwania na sprzyjającą chwilę, w celu zrobienia następnego świństwa, może doprowadzić do pojawienia się nowego konkurenta... albo konkurentki, legalnie pretendującej do tronu Dogewy. I dopuścić do tego nie zamierzał.

— Statek się zatrzymuje — niespodziewanie odezwała się Orsana. Rozmowa urwała się w mgnieniu oka. Wszyscy, jak na komendę, utkwili wzrok w szybko zbliżającej się „Wilej”. Wydawało się, że ona naprawdę kładła się w dryf<sup>14</sup>: żagle pełzły w górę, falami przytulając się do rej, biały grzywacz<sup>15</sup> za rufą opadł i wkrótce zupełnie zniknął.

„Łapownik” również zmniejszył szybkość i lekko skrzywił w bok, opływając „Wileję” z lewej strony. Szyper tęnym wzrokiem wpatrywał się w przekręcające się samo z siebie koło sterowe.

Burty zetknęły się z cichym uderzeniem i tak już zamarły, jakby się ze sobą skleiły.

— A co z awanturą? — zjadliwie przypomniał Len, ale mi już nie było do żartów. Jemu zresztą także, a powiedział to pewnie, żeby dodać mi otuchy.

— Och, nie podoba mi się to... — burknęła Orsana, wyrażając powszechną opinię. — Uciekali, uciekali i nagle takie serdeczne przyjęcie? Tak jakby zostało to zaplanowane... szkoda, że nie dla nas.

Na pokładzie wroga było dziwnie pusto. Ani jednego człowieka — ani przy olinowaniu, ani przy kole sterowym — tylko tkwiący na rufie czarownik, z parą znanych nam z Opadiszczki opryszków i z trzema innymi nieznanymi (nie wywołującymi chęci bliższego poznania) oraz okazale rozparty na składanym fotelu Władca. Wstawać i powitać nas, w oczywisty sposób nie miał zamiaru.

Wypadło, zacisnąwszy zęby, szturmować burty, niczym złodziejaszki wążące do obcego ogrodu. Zresztą, wampiry przesadziły przeszkodę, nawet nie zmyliwszy kroku. I udały się prosto ku wrogom, wyprzedziwszy nas o kilka sążni.

Krostien śledził ich zbliżanie się, z ciekawością drzemiącego na słońcu

---

<sup>13</sup> Przygoda z II części Zawód Wiedźma

<sup>14</sup> **Dryf** – zbczenie statku z kursu wskutek działania wiatru i fali. Stąd stawać (kłaść się) w dryf - pozwalać statkowi na unoszenie go przez wiatr i falę, zwykle dla przetrwania sztormu). <http://www.wydawnictwosel.pl/index.php?id=45>

<sup>15</sup> **Grzywacz** – jest to załamująca się fala morska powstająca przy wietrze powyżej 5 stopni w skali Beauforta.

[http://pl.wikipedia.org/wiki/Grzywacz\\_%28fala%29](http://pl.wikipedia.org/wiki/Grzywacz_%28fala%29)

kota, pochopnie uznanego przez stado wróbli za zdechłego. Ale wystarczyło ptaszkom zbliżyć się na długość pazurzastej łapki...

— Znieważyleś mnie, Arr'akktur — teatralnie, z udawanym oburzeniem, powiedział Krostien, kiedy Władców dzieliło już od niego nie więcej jak trzy sążnie. — Prześladowając mnie, jak jakiegoś bandytę, rzuciłeś cień na moje dobre imię i zwykle przeprosiny go nie oczyszczą! — I z jawnym triumfem zakończył: — Żądam, żeby rozsądził nas lesset gh'woord shaell! Varsset tehhe-ra Doh'gheva.

Wampiry zatrzymały się, jak gdyby natrafiły na niewidoczną ścianę. Werd krótko zaklął, Rolar w złości rzucił miecz na pokład. Len pogardliwie splunął pod nogi, co zresztą całkowicie uchodziło za kiwnięcie głową na znak zgody.

— Topić trzeba było gada, żeby paszczy nie rozdziawił! — posepnie podsumowywał Wal.

Wyżej wymieniony raczył w końcu się podnieść, zupełnie spokojnie odwrócił się do nas plecami i zamieniwszy parę słów ze swoimi towarzyszami, poszedł do kajuty. Rolar wyraźnie zgrzytnął kłami, postąpił do przodu, ale Len szturchnął go w bok i potępiająco pokiwał głową.

— Niech się udławi. Jeszcze nie zwyciężył.

Arlissjanin, opamiętawszy się, nachylił się, i pod zjadliwymi szyderstwami wrogiej drużyny, podniósł swój miecz.

— Co się stało? — napadłam na niego.

— Krostien wyzwiał Lena na pojedynek. Jako Wyzywający ma prawo do postawienia dodatkowego warunku.

— Jakiego?

— Zwycięzca otrzymuje Dogewę.

— Jakiego gh...

Len zdecydowanie chwycił mnie za ramię i obrócił w stronę pozostałych, już zbijających się w doradczą gromadkę. Tak samo jak i nasi przeciwnicy. Wydawało się, że oni także nie byli zachwyceni z powodu zbliżającego się przedsięwzięcia, chociaż przejmowali się nim mniej od nas. Niekiedy nawet wyjątkowo nikczemnie się uśmiechali, spoglądając w naszą stronę, szczególnie celował w tym czarownik. Aż mnie korciło, żeby podkraść się do nich na palcach i podsłuchać, jaką to podłość nam szykują, ale trzeba było obmyślić własną.

— Rolar, ty przecież znasz wszystkich Władców dolin! Powiedz mi, że ten typ pierwszy raz w życiu widzi gword i po prostu chce godnie rozstać się z życiem! — zaczęłam błagać.

Ciemnowłosa ze zmieszaniem zakasłał:



— E-e-e... chciałbym, żeby tak było, ale tak w ogóle, to dwadzieścia lat temu, Krostien był uważany za najlepiej władającego gworem wampira ze wszystkich dolin.

— A na ostatnim turnieju rozłożył mnie na obie łopatki w ciągu piętnastu minut — pochmurnie przytaknął Werd. — I szczerze wątpię, żeby zamierzał gdzieś uciekać... tym bardziej tam — dodał Władca Lesku, usłyszawszy ostatnią uwagę trolla.

— A przecież, jeżeli on zwycięży — z bezsilną złością zauważył Rolar — Dogewa przypadnie mu w udziale jak najbardziej z mocy samego prawa: znieważony wyzwiał sprawcę obrazy na święty pojedynek i wygrał.

— Tylko najpierw musi jeszcze wygrać i ze mną. — Władca Lesku znacząco wyciągnął zza pleców gwora i stuknął nim o pokład, jak baśniowy Dziadek Mróz kijem. Śnieżynki się co prawda, nie posypały, ale wrażenie mimo wszystko to wywarło.

— I na jakiej podstawie zamierzasz go wyzwiać? — nieco sarkastycznie zapytał Len. — Zemsta krwi za śmiertelnego wroga?

— Coś wymyślę. Powiedzmy, zarzucę mu, że pozbawił mnie przyjemności wykończenia cię osobiście.

— O tak, to straszna obraza — z powagą przytaknął Len.

Werd chyba z trudem powstrzymał się, żeby go nie spoliczkować.

— Zresztą, coś się wymyśli. To naprawdę nic skomplikowanego — spokojnie kontynuował Władca Dogewy, patrząc kolejny raz na zasmuconych przyjaciół. Rolar nawet gorliwie zaszurał nogą, za co odpowiednio oberwał w ucho — co prawda, już od Lena.

— A może w ogóle nie będziecie z nim walczyć? — smętnie zaproponowałam, kompletnie nie mając nadziei na powodzenie tej idei. — Zwiążmy ich imieniem Konwentu, no i będzie kwita!

Spojrzeli na mnie ze zrozumieniem i współczuciem, ale nieugięcie.

— Czarownika z najemnikami — być może, ale winę Krostiena jeszcze trzeba udowodnić, a wyzwanie już rzucone, Wolha — westchnął Rolar. — I jeżeli poprzednim razem przeciwnicy tylko czekali na powód, aby móc przerwać pojedynek (Werd cicho chrząknął, ale zaprzeczać nie zaczął; Len otwarcie się uśmiechnął), to teraz, jego uchylenie, zmieni się dla jednego z nich w hańbę, a drugiemu da wolność i swobodę, aby nadal mógł podstępnie bruździć nam dalej.

— Sprawżne biezczestia — uczciwa walka z ocyjej miar-zotoju<sup>16</sup>! — nie wytrzymała Orsana, całkowicie dzielając moją opinię. — No to my ich po

---

<sup>16</sup> „Obejdziemy się bez honoru – uczciwa walka nie wchodzi w rachubę”

cichu, jak kapustę poszatkuje i powiemy, szo tak i było, kto się dowie?!

— Ale Arr'akktur będzie znał prawdę — półgłosem odezwał się Werd i zrozumiałam, że wszystkie sprzeciwy są daremne.

— Nic na to nie możesz poradzić, Wolha. — Profesor ze współczuciem położył mi rękę na ramieniu. — Tym razem to rzeczywiste tylko jego walka. Wszystko, w czym możemy mu pomóc — to — nie dać Opiekunowi i najemnikom Krostiena wmieszać się w pojedynek... a oni nie dadzą takiej możliwości nam.

Gniewnie wywinełam się spod ręki Profesora, oponując:

— No to jeszcze zobaczymy, kto nic nie może poradzić!

— Odejźmy na chwilę na bok — stanowczo odezwał się Len i chwyciwszy mnie pod rękę, zaciągnął do burty, jak najdalej od obu kompanii. — Wolha, weź się w garść. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Najbardziej to jego chciałam wziąć w garść, przy czym za szyję i porządnie potrząsnąć.

— Jakim?!

— Od samego początku zamierzałem rzucić mu wyzwanie. Tylko, że na swoich warunkach, ale jest jak jest. Jak to się u was, ludzi, mówi, „nie zawsze trafi się wampirovi dziewica”. Głupio raz po raz zrywać trujące pędy, zostawiając pod ziemią rodzący je korzeń. Dlatego udałem się w pościg, nie za czarownikiem, a za jego zleceniodawcą, żeby rzucić mu wyzwanie, którego nie mógłby nie podjąć, jakim by nie był tchórzem i łajdakiem.

— Dlaczego?

— Wśród wampirów nazywają to Lesset gh'woord shaell. — Len na chwilę się zamyślił, próbując dobrać odpowiednie słowa w powszechnie używanym języku. — „Święte ostrze niebios”. Odwieczny obyczaj Władców. Kiedy uważający się za obrażonego wampir, wyzywa sprawcę zniewagi na pojedynek, to wyniku tego pojedynku się nie kwestionuje i nie może on służyć, jako powód do krwawej zemsty.

— Chcesz powiedzieć — w ogóle, to ja zrozumiałam to od razu, ale skonkretyzować odważyłam się dopiero teraz — na śmiertelny pojedynek?

— Nie zawsze. W zasadach nie jest to zastrzeżone. Można oszczędzić przeciwnika, a można i dać mu nauczkę, żeby na przyszłość rozważniej wybierał sobie wrogów. — Len celowo beztrzesko wzruszył ramionami i zrozumiałam, że o tych dwóch wariantach można zapomnieć. — W każdym razie, ten kto nie przyjmie wyzwania albo przegra, przyznaje się bezwarunkowo do winy — albo złamania zasad albo oszczerstwa. Dlatego nie przyjąć wyzwania się nie da, tak jak nie można naruszyć jego zasad. Walczącym nie

wolno używać jakiegokolwiek broni oprócz gwordów, a ich przyjaciele nie mogą przekraczać linii, dopóki pojedynek się nie skończy. Czarować także — pośpiesznie dodał wampir, czy to odczytawszy moje myśli, czy też po prostu dostrzegłszy zły błysk w oczach.

— Gdybyś opowiedział mi o tym wcześniej, nie pozwoliłabym ci wyjechać nawet z Dogewy, nie mówiąc już o Lesku!

— Otóż to, dlatego też i nie powiedziałem — niewesoło uśmiechnął się Len. — Wolha, jeśli się wtrącis, przegram. Bardzo cię proszę, nie rób tego, w przeciwnym razie wszystko, to co już zrobiliśmy i czego dokonaliśmy, okaże się daremne.

Zasepiłam się i nic nie odpowiedziałam, a Len nie nalegał. Ponieważ, powiedzieć to na głos było jeszcze trudniej, niż przyjąć do wiadomości.

— A co, jeśli to oni się wtrąca? — Skinęłam głową w stronę przeciwnika. — Len, dlaczego nie zabrałeś ze sobą chociażby z sześciu Strażników? Przynajmniej byłibyśmy trochę bardziej spokojniejsi...

— Nie wtrąca się — z przekonaniem powiedział Len i ze zdumieniem odkryłam, że na pokładzie, z drużyny wroga, został się tylko sam Krostien i jego Opiekun. Pozostali, czy to zamknęli się w kajutach, czy też skryli się w ładowni. A, co jeszcze dziwniejsze, Profesor z Katissą także wrócili na „Łapownika”. — Wedle obyczaju, obecni podczas pojedynku mogą być tylko ci, którzy mają do tego prawo oraz ci, którzy są żywo zainteresowani wymierzeniem sprawiedliwości. Dlatego ani ja, ani dokładnie zorientowany w sytuacji Werd nie zabraliśmy ze sobą Straży. A nasi... przyjaciele — z uczuciem wycedził Len — bezczelnie skorzystali z sytuacji, przyczepiwszy się do mnie pod pretekstem — że też wpadli na ten pomysł! — napuszczenia na nich w karczmie nietoperzy! Pewnie Rolar się wygadał...

— Czyli... oni są jakby po stronie Krostiena?! — spieszyłam się.

— Tak jakby — z nerwowym uśmiechem potwierdził Len, — oni nie mieli do niego osobistych pretensji, on ich i palcem nie tknął. Wspólnicy czarownika się nie liczą, ponadto oni ich sami sprowokowali: czy jest prawo, które zabrania kupować odrąbane głowy rudowłosych wiedźm? A nietoperzami kierowałem osobiście i teraz ta trójca pragnie jakoby otrzymać moralną rekompensatę w postaci malowniczego ścięcia mojej głowy! I najważniejsze — nie można tego podważyć! Krew została przelana. Uroczyście zademonstrowali mi dziesiątki zadrapań i zapaskudzony kaftan karczmarza, za który Rolar zapłacił z własnej kieszeni, własną krwawicą! Zniewaga uczyniona? I to jeszcze jaka! Zresztą, myślę, że gdyby nie było nietoperzy, wymyśliliby coś innego, tak samo idiotycznego i zgodnego z prawem...

Krostien w końcu wyszedł z kajuty, ubrany jak się należy — cały w czarni. Coś tam szeptął na ucho swojemu Opiekunowi i zgrywając twardziela, bez pośpiechu przedefilował na środek pokładu, patrząc mi prosto w oczy.

— Len... — w dole mojego brzucha, z nową siłą, rozlał się obezwładniający mnie chłód. — A może by tak? Niech spływa do stu mrakobiesów, przecież, jeśli nawet zrezygnujesz z tego idiotycznego pojedynku, wszyscy wiedzą, jakim on jest łajdakiem i nikczemnikiem i prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż on zobaczy Dogewę!

— Jemu wszystko jedno — nie Dogewa, to Lesk. Nie Lesk, to Arliss, Orikwa, Klattien, gdzie również jest tylko po jedynym Władcy. Nie dzisiaj — to za dwadzieścia lat, kiedy ta historia ulegnie zapomnieniu. Wolha, powinienem powstrzymać go tu i teraz, w przeciwnym razie nie będę w stanie spojrzeć ani wampirom — a także ludziom — w oczy. Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Daję prawdziwe ... hm... no dobrze, słowo honoru.

— Jakie tam dobrze — zaszlochałam, nie mogąc się powstrzymać, — skoro jego obawia się nawet Werd!

— Nie obawia się — stanowczo poprawił mnie wampir. — Po prostu uważa go za niebezpiecznego przeciwnika. I ja także. Ale to przecież nie oznacz, że pozwolimy mu nadal zatruwać nam życie!

— Aha, lepiej będzie, jeśli on ciebie po prostu zabije! Zatruwać, w rzeczy samej, nie będzie czego!

— Ktoś, kiedyś, — Len delikatnie uniósł koniuszkami palców mój podbródek, żeby spojrzeć mi prosto w oczy, — radził mi bardziej ufać szczęściu. Przyszedł czas sprawdzić, czy jestem na właściwej liście.

Leciutki, niemal nieodczuwalny dotyk warg — i z oszałamiającą, przerażającą jasnością uświadomiłam sobie, że pocałunek ten może stać się moim ostatnim wspomnieniem o nim. W następnej chwili Len zrobił krok naprzód i zamarł, jak czarna klinga ze złocistą głownią, z rozmachem wbita w pokład.

— Vesetta k'or, Krostean.

— D'ha vesetta k'oraell... shwett.

Lenowi nawet brew nie drgnęła, chociaż paskudnie uśmiechający się przeciwnik, jawnie zastąpił jego rodowe imię jakimś pogardliwym przezwiskiem typu „szczeniak”.

W pośpiechu wymruczałam formułę i pstrykałam palcami. Wszyscy podejrzliwie spojrzeli na mnie z ukosa, oprócz czarownika. Ten tylko pogardliwie się skrzywił, ale niczemu się nie sprzeciwił. Zaklęcia przyśpieszenia w rzeczywistości nie można było zaliczyć ani do bojowych ani

do ochronnych, za to teraz mogłam obserwować pojedynek na równi z wampirami. Niestety, tylko obserwować — poruszać się trzy razy szybciej — zaklęcie nie pozwalało. Poczułam się jakbym była odurzana czymś w rodzaju sławetnego „Miodowego marzenia sennego”.

Tym razem zobaczyłam, jak wampiry rzuciły się naprzód. Wręcz nieprawdopodobnie szybko — nawet cienie za nimi nie nadążały. Gwordy skrzyżowały się najpierw płazami, potem ostrzami. Przeciwnicy na razie tylko się przymierzali, badali nawzajem swoje możliwości, poruszając się po okręgu, chociaż dla ludzkiego oka to na pewno wydawało się zaciekłym starciem. Wszystkie wypady robił Krostien, Len tylko je parował. Nonszalancki uśmieszek pierwszego, niesamowicie podkreślała skupiona uwaga drugiego. Przekonany o swoim zwycięstwie wojownik, przeciwko zuchwałemu chłopakowi, mającemu nadzieję zastąpić techniką mistrzostwo. Zaledwie jedno celne uderzenie...

Krostien, jak gdyby nie wierząc własnym oczom, dotknął rozciętego rękawa. Uśmieszek spełził mu z twarzy, razem z zabarwionym przez krew palcem.

— We kenna, er’se... — wypuścił powietrze Krostien, do głębi duszy wstrząśnięty takim bluźnierstwem. — Sha-rre kha, pasten!

I wtedy Len błysnął kłami w milczącym uśmiechu, który przez to wydawał się być jeszcze bardziej złowieszczymszczerzeniem zębów, jak u doświadczonego w walce wilczyśka, któremu sprzykrzyło się udawanie szczeniaka skaczącego przez pyskiem rywala.

Zabawa się skończyła. Krostien również błysnął kłami w odpowiedzi i pochyliwszy się, już dużo bardziej ostrożnie zaczął zachodzić Lena z lewej strony. Nagły wypad — i błyskawicznie podstawione ostrze, przyjmujące na siebie uderzenie. Znowu nie doszło do rewanżu.

— Zuch, nie nadstawia karku, czeka na najbardziej sprzyjający moment... — Rolar w napięciu zrobił krok do przodu. Orsana na wszelki wypadek przytrzymała go za kurtkę. — Ale drugi raz Krostien się na to nie nabierze...

Szybka seria uderzeń, które jak gdyby wywoływały oddźwięk w moim brzuchu. Błysnęły iskry, ale przeciwnikowi znowu nie udało się przedrzeć przez zasłonę Lena. Krostien jak gdyby się cofnął — i niespodziewanie się odsłoniwszy, machnął gwordem spod łokcia, wyprowadziwszy cios po szerokim łuku tuż nad pokładem, maznąwszy jednak Lena po zelówkach. A potem bez przejścia — wykonał nieoczekiwane uderzenie na ukos i do góry, w nadziei, że podskok wybijie wroga z rytmu. Pomarzyć dobra rzecz! Prościej byłoby trafić w piórko, które zawsze wyprzedza kijek, dzięki podrywającym je podmuchom

wietrzyku.

Zachwiałszy się, Len wylądował niezbyt elegancko. I natychmiast musiał wygiąć się do tyłu, przepuszczając klingę, która świsnęła mu przed piersią, a potem odskoczyła w bok, w ostatniej chwili uchyliwszy się przed ciosem. Zdaje się, że Krostien rozzłościł się nie na żarty, chociaż ani na jego twarzy, ani na kunszcie we władaniu gwordem, to się nie odbiło — wręcz przeciwnie. Ciosy stały się rzadsze, za to bardziej niespodziewane i wyrafinowane. Mimo najlepszych chęci, nie mogłam odróżnić pozorowanego wypadu od prawdziwego. Na szczęście, Lenowi na razie jakoś to się udawało, ale on mógł liczyć tak naprawdę tylko na łut szczęścia — w obronie Krostiena nie było nawet najmniejszej luki. Gword zakręcił „młynka”, zmieniawszy się w ochronną tarczę ze stalowym obramowaniem, a potem nieoczekiwanie, ze strasznie niewygodnej pozycji, dźgnął z taką siłą, że przeciwnik powinien był rozpaść się na dwie części: górną i dolną.

Len uchylił się i zablokował cios.

— Mój blok — z aprobatą mruknął Werd.

Obaj wojownicy tak się zdziwili, że nawet przerwali pojedynek, utkwivszy w sobie nawzajem podejrzliwe i pełne nienawiści spojrzenia. Jednocześnie nabrali tchu. Po kilku sekundach starcie wybuchło z nową siłą i stało się dwa razy bardziej zaciekle i intensywne. Krostien, wzdłuż burty, napierał na Lena, a ten ledwie był w stanie parować jego ciosy. Obeszliby w ten sposób na pewno cały statek, po drodze odrabując wszelki nawijający się pod gwordy osprzęt (środkowy żagiel i tak już jakoś dziwne się przekrzywił), gdy nagle Len potknął się o „ogon” buchy<sup>17</sup> i upadł na plecy. Krostien natychmiast wykorzystał ten moment i dźgnął wroga w pierś. Jeden błąd pociągnął za sobą kolejny — Len w pośpiechu, byle jak, nadstawił gword i cios trafił w drewnianą część laski, przecinając ją na pół. Kawałek z ostrzami odleciał gdzieś na bok. Lenowi jakimś cudem udało się odparować następne uderzenie pozostałą częścią, mimochodem, uderzając ciężką rękojeścią w kolano zbyt wczesnego cieszącego się ze zwycięstwa przeciwnika. Klinga, nakreśliwszy czerwoną linię wzdłuż policzka Lena, wrąbała się w pokład po samą rękojeść.

Wszyscy naraz wydaliśmy okrzyk zgrozy, ale zanim Krostien zdążył odzyskać równowagę, uwolnić broń i zamierzyć się ponownie, Werd beznamietnie sięgnął po swój gword (jak ważny kupiec, który doczekał się swojej kolejności przy straganie z gorącymi pasztecikami — po sakiewkę), wysunął ostrze i... niziutko rzucił laską nad deskami pokładu.

---

<sup>17</sup> **Buchta** - zwój liny ułożony specjalnie w taki sposób, aby można było z tej liny od razu skorzystać (rozwinąć) bez ryzyka splątania

Żelazo szczęknęło o żelazo. Len płazem zatrzymał rozpuszczone ostrza przed samym nosem i z całej siły kopnął przeciwnika w krocze, zmuszając go do odskoczenia z bolesnym syknięciem. Sam zaś, z kocią gracją, skoczył na nogi, bezpośrednio z pozycji leżącej. „Pomaleńku” zakreślił cudzym gwordem w prawej ręce, zapoznając się z jego długością i wagą, ponownie przerzucił do lewej i następny atak przywitał w pełnej gotowości bojowej.

Krostien zaryczał z wściekłości, ale widocznie zasady pojedynku nie zabraniały chwycić spadającej prosto w ręce broni, jak i wierzgać wszystkimi kończynami, w nawijające się pod nie miejsca. Próba dosięgnięcia przeciwnika prostym uderzeniem w głowę nie zakończyła się sukcesem — Len, nie oglądając się, lekko i zręcznie wskoczył na brzeg burty. Nawet się nie zachwiał, tylko zamachał skrzydłami, ale składać ich już nie zaczął. Chwilę później przyłączył się do niego Krostien.

Wampiry w podobny sposób, pewnie i zaciekle, kontynuowały pojedynek, na poprzeczce o szerokości góra trzech palców. Wypad — odskok, szczęk, błysk iskier i odpryski drzazg. Burta wyszczerbiła się na długość łokcia, jak gdyby chwycił ją zębami morski potwór. Uderzenie — blok, okropny zgrzyt i znowu — uderzenie, uderzenie, uderzenie, proste, oszukańcze, z obrotu...

I tu szczęście zdecydowało, że czas się wtrącić.

Zachłysnęłam się krzykiem, jak gdyby to moją pierś przebiła trójganiasta klinga, prześlizgnąwszy się obok ledwie odrobinę spóźniającego się ostrza. W każdym razie, Len zdążył i zdołał — wypuściwszy swój gword — obiema rękami złapać się za drzewce wrogiej laski i z głuchym chrypieniem szarpnąć do siebie, tak że zakrwawione ostrza z trzaskiem otworzyły się już za jego plecami. Krostien rozwarł palce i się uchylił, ale Len nie celował w gardło. Wystarczyło mu chwycić rywala za kołnierz i gwałtowne szarpnąć. Przeciwnik głośno zamachał skrzydłami, bezskutecznie próbując zachować równowagę i obaj, sczepiwszy się ze sobą, runęli do wody.

Po sekundzie zamętu i przyjaciele, i wyskakujący z kajut na mój krzyk wrogowie, rzucili się na wyścigi do burty. Werd dostał się do niej jako pierwszy i nie namyślając się, z rozpędu ją przesadził, wywinąwszy się w powietrzu i prawie bez pluśnięcia wszedł w wodę.

Rolar ledwie zdążył złapać mnie za kołnierz i szarpnąć do tyłu.

— Puść!!! — wydaje się, że dość mocno i celnie wbiłam mu obcas, wampir aż stęknął, ale rąk nie rozwarł.

Woda, dopiero co się uspokoiwszy, ponownie zakipiała — karminowo-purpurową, szybko rozlewającą się plamą, w środku której, na chwilę pokazał się i znowu zniknął pod wodą ostry kąć czarnej płetwy.

Bezwładnie zawisłam na kołnierzu. Zdrętwieli nawet wrogowie, zrozumiawszy, że już także nie mają na co liczyć.

I wtedy, za naszymi plecami, rozległ się niegłośny, ale taki szczery<sup>18</sup> i zwycięski śmiech, że nie obejrzeć się w jego stronę, było po prostu niemożliwe.

Czarownik stał pośrodku pokładu. Nie miał żadnego powodu, aby śpieszyć się do burty — i tak wiedział, kto zwyciężył.

On.

Niezrozumiałym jest, na co liczył Krostien, na tyle ufając temu łajdakowi, żeby powierzyć mu swój rear — widocznie zamierzał zmienić Opiekuna od razu po pomyślnym zakończeniu sprawy — ale czarownik, chociażby dla przyzwoitości, nawet nie pomyślał, aby ukryć swoją radość. Wokół jego uniesionej w egzaltowanym geście ręki, kłębiła się, dająca się w niektórych miejscach zauważyć nawet gołym okiem, błękitno-sina magiczna mgiełka, jak nad energetycznym źródłem.

Krew poległego Władcy przystępowała do działania. Wyglądało jednak na to, że czarownik nie zamierzał użyć jej zgodnie z przeznaczeniem,.

Bezpośrednio nad statkami, jakby z niczego, zaczęły gęstnieć chmury. Ze specjalnymi, złowieszczymi efektami, bez których, jak piszą w jarmarcznych książeczkach, nie może się obejść ani jeden porządny czarnoksiężnik, nie miały żadnego związku. Całkowicie normalne zjawisko naturalne, wywołane gwałtownym pluśnięciem magicznego pola.

Wyczuwszy coś niedobrego, magowie nie tracili czasu na ponownie szturmowanie burt, ale zmaterializowali się wprost pośrodku „Wilei”. Katissa ze świstem wciągnęła powietrze przez zęby, przywołując posmak wszystkich życiowych zaklęć i koncentrując się na zbliżającej się bitwie. Statki ze skrzypieniem rozeszły się, zarysowawszy sobie nawzajem poszycie. Piraci, nie będąc durniami, z profesjonalną zwinnością zawrócili „Łapownika”, prawie że w miejscu i rzucili się do ucieczki.

Czarownik powoli opuścił twarz i utkwiał we mnie wzrok. Morze, niebo, pokład, cały statek jak gdyby znikły, zapadłszy się w inny wymiar, niedostrzegalnie i nieistotne.

Zostaliśmy sami: tylko on i ja.

Rzucającą się naprzód Katisse odrzuciło i przetoczyło po pokładzie — w chmurze ciemno-czerwonych kropel — przez ostatni sążeń. Kiedy się zatrzymała, nadal leżała na boku, z nienaturalnie wykręconą pod siebie ręką, tj. łokciem wysuniętym do przodu. Oczy miała zamknięte, a z nosa cienką strużką spływała krew.

---

<sup>18</sup> [Jak wiadomo, najbardziej szczery śmiech — złośliwy, — przypis Gromyko]



A przecież jeszcze nie zaczął czarować. Po prostu opędził się od niej, jak od muchy, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Wolcha, połączona tarcza, szybciej!

Nawet nie obróciłam głowy i nie spróbowałam podnieść ręki, żeby spleść swoje zaklęcie z Profesorem. Ponieważ, aż za dobrze rozumiałam, że to daremne. Nie jesteśmy w stanie go powstrzymać, ani przynajmniej na jakiś czas zatrzymać.

Było mi już wszystko jedno, już i tak umarłam. Zostało tylko, jak lubił mówić Wal, „zrelaksować się i czerpać przyjemność”.

To było jak fala przyływu, wznosząca się na dziesięć sążni nad cumowiskiem. Czysta moc, wyrywająca się na wolność z naturalnym krzykiem, nie potrzebująca żadnych obliczeń ani zaklęć. Miażdżąca wszystko na swojej drodze — czy to maszt, czy to wieżmę. Złocisto-mglista kopuła tarczy rozleciała się z rozbryzgiem od jednego zaledwie dotknięcia, za moimi plecami jęknął i zdaje się, że upadł arcymag.

„Ach, przyjemność? Cóż, dlaczego by i nie!” — pomyślałam z odepchniętą, ale z tego powodu wcale nie mniej rozszalałą wściekłością. I zrobiłam najbardziej głupią i heroiczną rzecz, jaką tylko mogłam zrobić.

Wyszarpnęłam miecz, który parzył mnie w plecy przez pochwę i wystawiłam go przed siebie.

Fala zatrzymała się i nieco, ale szybko cofnęła się z powrotem, jak gdyby nagle natknęła się na niespodziewanie wyrosłą w poprzek pokładu zaporę. Na deskach zadymiła się i zaczęła szybko ciemnieć linia grubości dłoni. Powietrze zmętniało, jak wokół płomieni, przepołowiwszy statek półprzezroczystą zasłoną. Żagle, które znalazły się w jej zasięgu, od razu czerniały, skręcały się i rozlatywały na pół. W powietrzu, wirowały płatki popiołu, osiadając na pokładzie.

Ze znaku cechowego na ostrzu, bił blask, jaskrawo zarysowując jego krawędzie. Gwałtownie się rozszerzając, rozchodziła się od niego, idąca w przeciwnym kierunku „fala”, tylko nie o sinym, lecz blado-srebrzystym, jak księżycowa poświata, odcieniu. Tam, gdzie obie fale się stykały, smagając się mocą, działo się coś takiego, że nawet najbardziej zdeterminowany samobójca wolałby poszukać przytulniejszego miejsca do dokonania rozrachunku z życiem. Chociaż większej gwarancji powodzenia, nikt by już naprawdę mu nie dał.

Zasłona krótkimi zrywami posuwała się to w jedną, to w drugą stronę. Ciemna linia osiągnęła szerokość arszyna, w obydwu burtach powstały poważne szczyrby.

Miecz delikatnie brzdęknął i zaczął się sypać. Poczawszy od koniuszka,

srebrzysto-szarymi ziarenkami, na przekór wiatrowi, spływającymi po obu stronach ostrza, rękojeści, trzymającym ją ręką... Jak piasek w klepsydrze, odliczającej ostatnie sekundy. Wydało mi się nawet, że słyszę miarowy, ledwo słyszalny szelest odmierzającego czas piasku, choć w epicentrum tak skoncentrowanej magii nawet grzmot pioruna przeszedłby nie zauważony.

Zasłona zaczęła sunąć w moim kierunku, grożąc nie tyle zwykłą śmiercią — ale starciem na pył wraz z duszą, jak gdyby nigdy mnie nie było i już naprawdę miało nie być.

Jedna trzecia część ostrza. Ćwierć. Środek znaku cechowego...

Nie wytrzymałam i zamknęłam oczy. W twarz wionęło mi ni to ciepłem, ni to chłodem — ale jednakowo obrzydliwym i nienaturalnym. Wszystko zniknęło — szelest, bezgłośnie wrzenie pozerających się nawzajem mocy, szepcik nieubłaganie nadciągającej ciemności...

Jedynie maszty skrzybiały, fale pluskały o burtę, z oburzeniem wydzierając się krążąca w górze mewa.

Niezdecydowanie uchyliwszy jedno oko, zdążyłam dostrzec twarz czarownika, wydłużającą się w szczerym oburzeniu, że widzi mnie w dobrym zdrowiu i teraz gorączkowo zbierającego siły do nowego ataku. A następnie rozległ się głuchy dźwięk, najbardziej ze wszystkiego przypominający cios głownią miecza w tył głowy. Właściwie, to tak właśnie i było. Wal w zamyśleniu popatrzył na osuwające się u jego stóp ciało i splunawszy, mruknął:

— Nawiasem mówiąc, wiesz mi jeszcze trzy kładnie, wagurc<sup>19</sup>!

Nieśmiało spojrzałam w dół. Równiusieńko po czubkach moich butów przechodziła granica między całym i zwęglonym, jeszcze trochę się dymiącym pokładem. Rękojeść chrupnęła i piaskiem wyciekła przez kurczowo zaciśnięte palce.

— Wiedział... — wyszeptałam do głębi wstrząśnięta. — Od samego początku wiedział, dając mi swój przeklęty, święty miecz... ale co go kosztowało mnie uprzedzić? Chociaż by dać jakoś do zrozumienia?! Przecież wtedy, być może, Len zostałby...

W następnej chwili dotarło do mnie, że siedzę na pokładzie, bez jakiegokolwiek pojęcia, jak i kiedy to się odbyło. Tępo obserwowałam, jak Profesor, postępując, pomaga trupio bladej, ale sądząc po miotanych przekleństwach, bardzo nawet żywej Katissie, podnieść się na nogi. Trudne zadanie, uwzględniając, że lewą ręką magiczka wspierała się na Profesorze i jednocześnie próbowała rzucić zaklęcie na, czy to złamaną, czy też po prostu zwichniętą prawą rękę, a przy tym jeszcze łokciem próbując wytrzeć nadal

---

<sup>19</sup> **wagurc** – określenie z języka troli

kapiącą z nosa krew.

Troll obrócił się do popleczników czarownika, groźnie wystawiwszy w ich kierunku miecz, ale ci, z jakiegoś powodu, nie poparli tego miłego przedsięwzięcia, rzuciwszy swoją broń na pokład (do tego, zdaje się, w dużym stopniu przyczynili się chwiejący się, ale bynajmniej nie wyglądający na słabych i nieporadnych, zbliżający się magowie). Profesor, jedną ręką kontynuując przytrzymywanie Katissy w talii, drugą wydobyl z fałd płaszcza i rzucił na pokład coś błyszczącego i żmijowatego, co zwinnie namacało i omotało nadgarstki nieprzytomnego czarownika.

Katissa coś powiedziała i Wal, pochyliwszy się bez zbytecznych ceregieli, zdarł z szyi leżącego złocisty kamyk na łańcuszku. W zamyśleniu podrzucił w rękę, a potem mocno się zamachnął i rzucił daleko w morze.

Rolar i Orsana, jak i wcześniej, uwijali się przy przeciwległej burcie, zaabsorbowani widocznie o wiele bardziej ważną sprawą.

Zupełnie ogłuszona, nie mogłam nie tylko wstać — ale nawet się poruszyć i tylko bezradnie obserwowałam, jak Werd prycha na oblepiające mu twarz mokre kosmyki włosów, nie podtrzymywane już przez obręcz, która zginęła w odmętach, i jak z wysiłkiem podciąga się na krawędź burty na lewej, wolnej ręce, a Rolar z pośpiechem ściąga z jego ramienia, i ostrożnie opuszcza na pokład bezwładne, rozplaszczające się na deskach ciało.

Na jedną straszną chwilę wydało mi się, że moje zatrzymujące się serce, nie zacznie bić ponownie, rozleciawszy się na tysiąc kawałków. Ale wtedy Len drgnął, konwulsyjnie odkrztuszając wodę z płuc i spróbował się unieść na rękach, błędnym wzrokiem przetrząsając pokład. Póki nie napotkał mojego spojrzenia.

„Ty zadufany w sobie, bezczelny, wampirzyno, któremu się we wszystkim szczęści — z osłabieniem pomyślałam, opierając się o burtę. — I żadnego innego nie potrzebuję...”

Ten drań wykrzywił sine wargi w złośliwym, tryumfującym uśmiechu, wyrócił oczami i znowu zemdłał. Werd wydał jakąś ostrą komendę, unosząc go i odwracając na bok, a pośpiesznie rzucający się na pomoc przyjaciele, zasłonili mi oba wampiry.

Ale ja i tak wiedziałam, że najstraszniejsze już za nami i teraz wszystko będzie bardzo, bardzo dobrze. Otóż tylko...

— Nie, nie będzie żadnego wesela! — wymamrotałam, patrząc w przejrzyste błękitne niebo. — Nie ma mowy! Inaczej ten bezczelny wampir na pewno doprowadzi do tego, że stracę dla niego głowę... jeżeli już nie doprowadził...

W górze, rozwijając się, łopotały nieliczne ocalałe żagle.  
Statek skręcał do Lesku.